Ner 14. Kraków 15 lipca 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9tej do 12tej rano.

ODEZWA.

Dzieje porozbiorowéj Polski świadczą najwymowniéj, iż z każdém usiłowaniem narodu, w celu odzyskania swych praw pogwałconych, łączył się szlachetny zamiar podniesienia ludu wiejskiego do godności obywatelskiéj. Każda chwila rozbudzenia, każden ruch polityczny zapisywał na swoim sztandarze świętą spuściznę konstytucyi 3 maja, bo przywódzcy narodu upatrywali słusznie, iż tylko przez liczebne pomnożenie dobrze myślących obywateli może się wzmódz i zwyciężyć idea narodowa. Różnemi zatém drogami usiłowali oni rozkrzewiać oświatę między ludem, podnosić jego dobrobyt i godność człowieczą. Jeżeli zaś te usiłowania nie zdołały takich wydać owoców, jakie wydaje jednostajna i wytrwała praca ogółu, to dlatego, że można je było podejmować tylko dorywczo i ukradkiem, że przewrotność nieprzyjaciół umiała liczne stawiać im zapory, a nawet niweczyć lub do wręcz przeciwnych wyzyskiwać celów.

Dziś zmieniły się stosunki, lecz potrzeba oświecania ludu nie ulega zmianie, owszem stała się gwałtowniejszą. Oto ludność całego kraju powołano do życia publicznego, a znaczna część téj ludności weszła w nie bez jasnych wyobrażeń o obywatelskich prawach i obowiązkach, bez tego stopnia wykształcenia, który stawia w możności rządzenia sobą i innymi. Że zaś rząd, który dawniéj niczém na postęp dobrze pojętéj oświaty nie wpływał, i dziś nie jest zbyt hojny w udzielaniu środków i praw, któreby żywszy jéj wzrost między ludem umożliwiały — więc na oświeconą część ludności spada obowiązek podjęcia téj ważnéj pracy.

„Stowarzyszenie przyjaciół oświaty ludowéj" we Lwowie zamierza właśnie powyższemu celowi odpowiedzieć. Zawiązali je jako pierwotni założyciele pp. Abrahamowicz Dawid, Cewiński Mieczysław, Czartoryski Jerzy, Domaradzki Władysław, Dzieduszycki Mieczysław, Gostkowski Antoni, Grocholski Kazimierz, x. Mazurak Andrzéj, Młocki Alfred, Noel Adam, Pawlikowski Mieczysław, Romanowicz Tadeusz, Rubczyński Władysław, Serwatowski Maciéj, Sapieha Adam, Szmitt Henryk, Sobieski Stanisław, Starkel Juliusz, Szczepański Mieczysław, Strzelecki Feliks, Ujejski Kornel, Wasilewski Tadeusz, Wasilewski Antoni, Widmau Karol, Wróblewski Władysław. Jako środki działania postawiło sobie Stowarzyszenie na pierwszém miejscu jak najszersze rozpowszechnianie dziełek i pism ludowych głównie za pomocą zakładania biblioteczek i czytelni po całym kraju, na dalszym zaś planie popieranie ludowych wydawnictw i nagradzanie gorliwych nauczycieli ludowych.

Do współudziału w tém Stowarzyszeniu wzywamy wszystkich Obywateli różnych klas społeczeńskich i wyznań. Nikomu, nawet najuboższym, nie może się stać przystąpienie ciężarem, gdyż roczna opłata jest nadzwyczaj niską. Kto tylko słowem zachęty zechce popierać cele Stowarzyszenia — kto tylko dwa centy tygodniowo odłoży od swoich zbytkowych wydatków i wrzuci je do wspólnéj skarbony — ten stanie się już szermierzem w bezkrwawéj walce z ciemnotą. Jestto obowiązek narodowy, z którego nie może wykluczać różnica przekonań i politycznych stanowisk.

Zapraszając więc wszystkich, nie wątpimy, że w Stowarzyszeniu naszém wezmą udział nietylko znane z swéj miłości dla ludu niewiasty polskie, lecz że je wesprą silnie rozliczne korporacje i zakłady, a nawet Reprezentacje gminne i Rady powiatowe, które już i tak odezwą Rady szkolnéj krajowéj z dnia 20 czerwca r. b. do pracy téj zostały powołane. Jesteśmy pełni ufności, że obowiązek, przekazany nam tradycją najświetniejszych dni Polski, znajdzie z łatwością wielu zwolenników, gdyż nie ma pewnie nikogo, ktoby nie czuł, że pod naciskiem bezustannych zamachów wynarodowienia z zachodu i północy, winniśmy na drodze oświaty pomnażać ludem szeregi narodowe. — Lwów dnia 1 lipca 1868.

Z centralnego zarządu Stowarzyszenia przyjaciół oświaty ludowéj we Lwowie. (Ulica Sykstuska 725¾.)

Przewodniczący: A. Sapieha. — Alfred Młocki. — X. Mazurak Andrzej. — Tadeusz Romanowicz. — Henryk Schmitt. S. Sobieski. — Juliusz Starkel.

Statut tego zacnego i zbawiennego Stowarzyszenia podamy w następnym numerze, jak również podawać będziemy skrzętnie wiadomości o postępie jego działań.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**: „Duo (Repos D'amour)".

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Ostatni nareszcie obraz, który w Paryżu wykonał, miał rozpoczynać szereg artystycznych ilustracyj z wystawy powszechnéj. Najcelniejszą rzeźbą na wystawie był *posąg Veli*, przedstawiający *Napoleona I.* w ostatnich chwilach życia (Les derniers jours)*). Grotger umieścił na podniesieniu w środku obrazu rysunek tego posągu, a wokoło grupy trzech pokoleń: towarzysze współcześni — pokolenie drugie, które jeszcze żywo czuje i pamięta epokę wielkiego cesarza, jéj sławę, niedolę i jéj skutki — i pokolenie dzisiejsze, które już patrzy okiem oddalonego widza i słucha na zimno lub co najwięcéj dla ciekawości tradycyi o ja-

*) Patrz „Kalina z r. 1867. Nr. 33.

kimś tytanie. Obrazowi temu możnaby dać za dewizę salomonowe: „marność nad marnościami“ i chrześciańskie „proch jesteś i w proch się obrócisz“. -- Chcąc zachować historyczną wierność w rysowaniu pierwszéj grupy, prosił Artur weteranów napoleońskich z *hôtel des invalides*, aby mu pozowali, co chętnie u nich uzyskał, przedkładając, że to jest na cześć cesarza. Otóż przy tém zaszła scena zarówno zabawna, jak rzewna, którą tu opisać nie zawadzi. Inwalidów przyprowadził do pracowni już wtedy, kiedy posąg cesarza już był narysowany. Na ten widok wyprostowali się staruszkowie i stanęli po formie. Po chwili ułożył ich Artur tak jak mu to było potrzeba i prosił żeby pozostali w tych pozycjach. Zaledwie jednak się odwrócił, aby rysować, weterani zerwali się z miejsc i stanęli znowu po formie. Nałożeni bowiem całe życie do wojskowéj subordynacyi i przez uwielbienie dla cesarza nie mogli tego przenieść na sobie, żeby w jego obecności siedzieć i w ogóle nie salutować. Scena ta powtarzała się kilka razy i dopiero z wielką biedą i perswazją dało się ułożyć ich inaczéj. -- Obraz ten kończy olbrzymi szereg prac pozostałych po Grotgerze — dodatkowo wspomnieć tu jeszcze należy o obrazach nieznanych nam a o których dopiero w ciągu pisania powzięliśmy wiadomość, jakoto: *„Markietanka“*, *„Spacer“*, *„Dzień zaduszny“*... a wiemy nadto, że o wielu innych jeszcze dopiero kiedyś ich właściciele wiadomość podadzą — do czego wobec ogółu powinni się czuć obowiązani.

* * *

Tak więc jesteśmy u kresu prac Artura. Okoliczności, wśród których ostatnie z nich powstawały, zaledwośmy wspomnieli i zostawiliśmy na boku samegoż artystę i człowieka. Czas nam powrócić do niego i jego losów, aby wartość pracy jego uwydatniła się tém więcéj. Jest to smutna tragedja; walka sztuki, zapału i młodości z demonami biedy i choroby. — Areną jest wielki paryski świat i ustronna pracownia; dekoracją tworzy obojętność ludzka, a na finał przychodzi codzienna niespodzianka — śmierć. Do obrazu tego posłuży nam przedewszystkiem skrzętny dziennik spisany i udzielony nam przez nieodstępnego przyjaciela Artura — Marcelego Krajewskiego — którego własne słowa nieraz tu przytoczyć nam wypadnie.

Wracamy się więc do czasu przyjazdu Artura do Paryża:

Przyjechał, jak to już wiemy, bez funduszów, za to z legionem projektów i pomysłów, z miłością w sercu, z *„Litwą“* i z zaczętą *„Wojną“*. Aby nie mieć przerwy w pracy, usunął się od ludzi — i tylko w jego pracowni rysował Marc. Krajewski, i najął umyślnie fortepian, aby Wład. Żeleński u niego całemi godzinami mógł grać.

Nie był to już ów hułaszczy Artur co w Wiedniu; więcéj powagi, więcéj na serjo, humor nawet umiarkowańszy. Obliczał, że do miesiąca czerwca interesa swoje wyrówna, „Litwę“ i „Wojnę“ sprzeda. Niebawem przekonał się inaczéj. Za „Litwę“ nie mógł dostać bajecznie lichéj sumy 3000 fr., którą żądał — ale za to po pańskich hotelach przesadzano się w grzecznościach przyjmując odwiedziny jego! Musiał więc odrywać się od właściwych prac do robienia po całych tygodniach mniejszych rysunków, które łatwiéj i lepiéj sprzedawał — bo jakoś co małe więcéj ludziom odpowiada, a niemniéj przychodzi się do posiadania utworów Grotgera i można się mieć za mecenasa! — Pracował wtedy po 16 godzin dziennie. Nie pomagały refleksje przyjaciół — bo jemu pilno było — ale nadwerężało to jego zdrowie. Nadto trafił na szkodliwą, wilgotną porę. W mieszkaniach nie ma tam pieców tylko kominki — pracować jednak musiał przy oknie w zimnie, tak, że często aż w futro otulać się musiał. Pokój jego przytém był *rue du four St.-Germain*, a jest to jedna z najciaśniejszych, najniezdrowszych, wiecznie zapowietrzonych ulic Paryża. — Z powodu bowiem wystawy były mieszkania przy lepszych ulicach niesłychanie drogie. Dopiero w czerwcu pożyczonemi pieniędzmi i honorarium za „Muzykę“ pospłacał narosłe długi i najął atelier wygodniejsze i zdrowsze, i zaopatrzył się w jakie takie meble. Humor jego wypogodził się, lubo go niecierpliwiło, że nie mógł jak zrazu zamierzał już na lipiec wrócić do kraju — do Lwowa, gdzie go serce porywało. Czekał — wystawił „Wojnę“ i wziął się do rysunku Napoleona. Obraz postępował zwolna — widać było po Arturze, że cierpi, że jest spracowany, że osłabiony, że przymusza się do wesołości i wmawia w siebie więcéj siły niż jéj już było. Obraz ten skończył w sierpniu, a w ciągu pracy nad nim, wykonał jeszcze kilka portretów. Cały ten miesiąc szedł mu żywiéj i raźniéj; towarzystwo dobrane oddziaływało na niego zawsze korzystnie, a wówczas przybył téż przyjaciel jego Karol Maszkowski. Lecz były to już ostatnie brzaski. W początkach września zmieniał się widocznie, spochmurniał — wyczerpała się wytrwałość, nadchodziły przykre listy, upominania się o dawne zaległości — i w skutek tego wszystkiego 6go września rano dostał gwałtownego krwotoku. Mimo usilnych starań słynnego Dra Raciborskiego, trwał krwotok trzy dni — potém nastał kaszel krwawy, nareszcie suchy, który go okropnie męczył. Gorączka trwała ciągle, z sił opadł zupełnie, znoszono go ze schodów, aby się mógł w kilka dni na świeżém powietrzu przejechać. Trwało to do końca września. W październiku po kilku dniach polepszenia i apetytu, popadł znowu w bezwładność i gorączkę — pragnął tylko wyjechać na południe, ale nie było za co i powtarzał, że wyjedzie jak będzie zapóźno: „Udawałem się gdzie mogłem (pisze M. Kr.) to

o pożyczkę, to o sprzedaż którego z jego rysunków nawet za połowę wartości, użyłem wszelkich sprężyn, wszystkich znajomości — kilku obiecywało!"..... Tymczasem Artur niknął coraz więcéj i już powtarzał: „czuję, że już nie wyjadę z Paryża". W końcu października przyłączyła się niepowstrzymana *diarrhé* i ciągłe poty — a przywołani lekarze paryscy oświadczyli, że nie ma ratunku, że jazdy jużby nie wytrzymał — jemu samemu jednak zrobiono nadzieję, aby go choć moralnie podtrzymywać.

W pierwszych dniach listopada cesarz austrjacki kupił „Wojnę" za 8000 fr., które zaraz nazajutrz komisarz wystawy Arturowi doręczył. Przywołano zaraz najsłynniejszego lekarza *Sey*. Uznał stan chorego bardzo niebezpiecznym, ale twierdził, że przy wszelkich wygodach i ostrożnościach do Pau dojedzie, a raz na miejscu będąc, powoli do sił przyjdzie — poczém daléj na południe jechać zalecił. Pospłacano gwałtowniejsze długi, ubrano Artura, zaniesiono na fotelu do fiakra i ulokowano na kolei w osobném *coupé* — (co do Pau 400 fr. kosztowało). Po 24 godzinach jazdy, podczas któréj radość i nadzieja trochę mu sił dodały, dowiózł go M. Kr. do Pau. — Miejscowy doktór dodawał otuchy — ale stan chorego pogorszał się — *diarrhé*, poty, gorączka, bezsenność, brak apetytu zupełny, nie ustępowały od łóżka. Z hotelu przeniesiono go na mieszkanie położone do słońca. Opanowała go trwoga — całą noc paliła się świeca i ogień na kominku — żądał tego; potrzeba było ciągle mówić do niego, bo zdawało się, że bez tego zgaśnie; — towarzyskość pozostała mu i w chorobie, rozmowa uspokojała go, zapominał o niebezpieczeństwie — nawet czasem w nocy zażądał kompotu lub ryżu na mleku — jedyne potrawy od których nie miał odrazy — mięso, bulion zbrzydził sobie zupełnie — o mączne rzeczy się upominał, na co doktór pozwolić nie mógł. Dokuczliwość choroby wzmogła się têm więcéj przez odleżenie — porobiły się ranki — nie pomagało smarowanie krochmalem ani kauczukowe poduszki — miejsca sobie nie mógł znaleść. Z piękną pogodą nastało jednak pewne polepszenie — mógł wyjeżdżać w *fauteuil roulant* — ożywił się trochę, otoczył się pamiątkami serdecznemi, listami i fotografiami. — Ale po kilku dniach wróciło do dawnego. Trzeba było już ostatecznych próbować środków, wyjechać do *Amelies les Bains*. Artur mimo zupełnéj bezsilności pragnął tego, odebrał bowiem wiadomość, że matka jego ma przybyć do Montpellier o kilka mil od Amelies odległego — chciał więc być bliżéj, aby ją zobaczyć, zresztą w Pau już poczęło być zimno. Mimo więc, że stan jego pogarszał się ciągle, że przyłączyły częste ataki zaparcia tchu, co tylko silną dozą eteru i kadzeniem Nitratem uśmierzać zdołano — zawiózł go M. Kr. w początku grudnia do Amelies. Podróż trwała 12 godzin — śnieg padał i wiatr był tak silny, że wyrwał z wagonu latarnię. Kr. musiał dziurę poduszką zatkać a Artura z głową zawinąć, bo przez szpary szyb dął wiater mroźny, a z Artura pot się lał bezustannie. Po dwudniowym odpoczynku na ostatniéj stacyi przybyli powozem do Amelies, a Artur cieszył się widząc po drodze rosnące w rowach aloesy i czuł się lepiéj. Przybywszy, siedział pół dnia przy kominku, jadł nawet, potém spał dobrze do 8méj rano. Wypił kawę, zażył lekarstwo, potém spał znowu do 6téj wieczór — jadł trochę i znowu zasnął. — Ale téż tyle było polepszenia. Na trzeci dzień wszystkie dolegliwości się wzmogły — osłabł tak, że już łyżki nie mógł utrzymać i Kr. go karmił. Nogi poczęły puchnąć, co go przestraszyło i odezwał się: „zobaczysz Marcelu, że ja wkrótce kłapnę; choć czasem kilka dni mi lepiéj, to znów stan mój się pogorsza, doktorowie nie wiedzą co gadają, żaden nie wie co mi jest, ja sam nájlepiéj to czuję; kontent jestem, że jesteś przy mnie; ty nawet myśli moje zgadujesz; ty mnie nie opuścisz — narobię ci biedaku nie mało kłopotu". Kr. uspokajał go jak mógł i zabawiał rozmową. — Fundusze tymczasem już się wyczerpały, gdyż kuracja pożerała je. — Kr. rozpisał listy, żeby się starano „*Litwę*" sprzedać. Stan chorego był ciągle jednaki, a gdy raz dla prześcielenia łóżka Kr. przeniósł go do fotelu i zobaczył się w zwierciedle, przeląkł się i rzekł: „*Wyglądam jakbym z trumny wylazł*, zobaczysz Marcelu, a nie długo do niéj wejdę — przepraszam cię biedaku, ale ja ci porządnego narobię kłopotu". Jeszcze jedna zabłysła mu nadzieja — moralna, o któréj marzył. Spodziewał się przyjazdu swojéj narzeczonéj — nadeszły listy — od rodziny i od niéj. — Tak już był osłabiony, że nie mógł czytać. — Kr. odczytał mu je — tylko listu narzeczonéj nie dał czytać: „nie rozpieczętuj, nie czytaj, bo dałem słowo mojéj Pannusi nie czytania nikomu jéj listów, przykro mi, że tobie nie mogę dać do przeczytania, dopierobyś poznał..." Układano się listownie o ten przyjazd — i szły dnie ciężkie jak dotąd. I pisze tak M. Kr.: Byłem zajęty pisaniem listu do Delarocha, aby sprzedał obraz Napoleona, bodaj za 600 fr..... Po drugiéj zasnął — przez sen mnie zawołał; wstaję, pytam się czego chce; powiada mi że nic, że to przez sen mówił i że mu się spać chce. Jeszcze po 4téj nad ranem mówiłem do niego. — Późniéj się uciszył i zasnął. Późniéj wstaję podać mu lekarstwo, budzę go, on nic nie odpowiada, biorę za rękę, czuję wrażenie już martwéj; otwieram okiennice i widzę go bladego jak ściana z twarzą suchą, a zwykle rano był kroplami ściekającego potu oblany. Pozycja jego jak do najsmaczniejszego snu ułożona pomimo na pół otwartych oczu — robiło mi to nadzieję, że może zemdlał — lecz nie widzę najmniejszego poruszenia piersi, ani oddechu — macam pulsa, nic dostrzedz nie mogę. Zdawało mi się, że ja w przestrachu nic nie czuję; dzwonię na garsona, aby zawołał

doktora, który przypadkiem znajdował się w hotelu. Doktór nadchodzi i przypatrzywszy się, powiada: *c'est fini!*" — Było to 13 grudnia r. 1867.

...„Kraj, a zwłaszcza majętni jego reprezentanci — dodaje gorzko smutny opiekun zmarłego — z zimną krwią patrzeli na nędzę jednego z najznakomitszych pod względem zasług i talentu artystów". — Pochowano zwłoki tak, aby było łatwo wydobyć je dla przeniesienia do kraju. Nastąpiło to za staraniem narzeczonéj i 4go lipca b. r. odbyły się we Lwowie uroczyste egzekwie i pogrzebanie na cmentarzu łyczakowskim, gdzie miał mowę Kornel Ujejski. Niebawem ma stanąć pomnik nad mogiłą artysty. (Dok. n.)

MARYLKA.

Kochanek miałem jak rękawiczek
Tuzinów kilka;
Lecz najpiękniejszą ze wszystkich była
Jedna — Marylka.

Przez pół godziny — blisko wiek cały....
O niéj wciąż śniłem.
Później się romans jakoś zakończył...
Nie ja zdradziłem.

A co to było zabiegów o tę
Chwilkę miłości,
Ile łez, westchnień — przysiąg bez końca
Ile zazdrości!...

Boże mój Boże, żyćby têm mogła
Przez dwa tygodnie,
I zbałamucić najmniéj dziesięciu
Bardzo wygodnie.

Aleksander.

Pamiętnik sieroty.

przez **Bohdana.**

(Ciąg dalszy.)

Przybyło trochę życia dla jednostajnych dni naszych, co też było potrzebném. Młodość nie może zbytecznie się karmić smutkiem, bo bywa we wszystkiém ostateczną....

Poznaję lepiéj hrabiego Olega, i towarzystwo jego bardzo jest dla mnie przyjemném, bo ma w wysokim stopniu to, co ja rozumiem pod słowem zacność, a przytêm urok wielki dla mnie umysłowego wykształcenia. Lubię też z nim rozmawiać, rozmowa z istotą mniéj więcéj na równi z nami stojącą, tak wielką czasem jest potrzebą ducha i tak miłém téj potrzeby zaspokojenie.

* * *

Gdybym tu chciała notować wypadki jakie nadzwyczajne, kartki mego dziennika zostałyby białemi; życie moje nie jest francuzkim romansem. Prędzéjby można je porównać do niektórych angielskich powieści; opisaćbym je tylko mogła notowaniem własnych rozmyślań lub szeregu wydarzeń drobnych. Ale i w zwykle spokojnych angielskich powieściach znajdzie się w końcu lub we środku katastrofa. Czy i moja jednostajna ale przyjemna egzystencja w poważnych Brzozach katastrofy doczeka się? Dotąd nic jéj nie rokuje.

Obecnie poję się wielką umysłową rozkoszą, któréj dawniéj zmuszoną byłam używać bardzo umiarkowanie. Swobodne godziny zapełniam czytaniem dobrych książek, ze znacznego zbioru, który hrabia Oleg przywiózł teraz z Paryża i Warszawy; trafność wyboru tych książek bardzo korzystne daje wyobrażenie o posiadaczu ich.

W zbiorze książek Olega znalazłam wszelkie rodzaje; jest oddział poważny i belletrystyka; w pierwszym najwięcéj historyi — w drugim cały Hugo (hrabina znosi go w swoim domu) wybór lepszych francuzkich powieściopisarzy, wielka liczba angielskich (próbki téj ostatniéj literatury, dotąd mało mi znanéj, mocno mnie zajęły). Biblioteka polska, najkompletniejsza jaka być może, zajmuje pierwsze miejsce w dużéj sali, przeznaczonéj w Brzozach na przybytek wiedzy.

Salę tę urządzaliśmy wszyscy, oprócz starego hrabiego. Bardzo przyjemném było dla mnie to zajęcie układania książek dla rozmów, które wywoływało. Słuchałam uważnie zdań Olega, którego wykształcenie zdaje mi się być wszechstronném i nie powierzchownem, co jak myślę, jest dość rzadkiém w naszéj arystokracyi; a sposób widzenia kwestyj socjalnych i moralnych bardzo zdrowy i poczciwy; co do hrabiny, wyznaję, iż mnie w duchu często śmieszyła naiwnością swych wstecznych wyobrażeń, które się jéj zupełnie naturalnemi, a mnie bardzo dzikiemi wydają.

Syn słucha z uszanowaniem tych dziwacznych *professions de foi*, czasem z wielkim taktem i ostrożnością próbuje je prostować; praca to jednak daremna. To jednak uważam zawsze za cud obustronnéj miłości synowskiéj i rodzicielskiéj, że się hrabina nie oburza za zdania syna; lecz gdyby w ważnéj jakiéj kwestyi życia Oleg chciał zastósować w czynie stanowczym wyobrażenia swoje? O hrabino! cobyś powiedziała?

Drugą dla mnie przyjemnością mniejszéj, naturalnie uwagi, jak czytanie, są spacery konne; zawsze miałam w têm upodobanie Angielki, ale nie mogłam mieć dobrego konia; poczciwy Oleg, którego zdaje się zadaniem,

w domowém pożyciu, każdemu dolę uprzyjemnić, urządził mi konną jazdę doskonałą. Hrabinie lekarz zalecił użycie ruchu i świeżego powietrza; wyjeżdża więc co poobiedzia, gdy upał już nie dokucza, półkrytym pojazdem; Lunia z nią siada, a ja jadę obok konno, na co hrabina, lubiąca także, gdy kto doświadcza przyjemności (i nie mająca znów tego niechrześcijańskiego wyobrażenia, że guwernantka jest jakąś istotą odrzuconą i skazaną na brak wieczny wszelkich rozrywek towarzyskich), patrzy z upodobaniem; często towarzyszy nam konno także hrabia Oleg, gdy mu jednak nie przeszkadzają zajęcia jego gospodarskie; oddaje się bowiem gospodarstwu na serjo i o ile sądzić mogę, bardzo mu w tém dobrze idzie.

Gdy pierwszy raz znalazłam się na ślicznym siwym arabie, który nosi tak lekko, że żadnego nie czuję na nim zmęczenia, w zgrabnéj amazonce szafirowéj i ładnym kapelusiku, który to strój sama sobie urządziłam w wolnéj godzinie, jadącą pięknego letniego wieczora wśród malowniczéj okolicy, doznałam jakiéjś radości dziecinnéj, któréj bynajmniéj w sobie nie zgromiłam. Mój zacny ojciec pozwalał mi być młodą, nie gniewał się wcale, gdy widział we mnie bardzo naturalne upodobanie do wdzięcznego ubioru, i nie nazywał śmiesznie emancypacją, amatorstwo do jazdy konnéj; mówił mi nieraz przeciwnie, że nic w tém złego nie widzi, wspominał kobiety z wieków średnich, po większéj części skromne i pobożne, a jeżdżące jednak konno, więcéj jak innym sposobem, i te wzory cnót domowych w familijném zaciszu, żony i matki rodzin angielskich, które się tworzą z zapalonych amazonek.

Używam więc przyjemności téj co dnia, i wdzięczna za poczciwe obchodzenie się ze mną rodziny P. staram się, o ile potrafić mogę, sumiennie się wywiązać z obowiązków moich. Dziękuję téż Bogu z całéj duszy za to życie ciche, pracowite, a nie ciężkie wcale, które w Brzozach prowadzę.

* * *

Jak dziwne światło stało się raptem w méj duszy! Dziwiłam się nieraz słysząc to zdanie, które mi się nie naturalném wydawało, że człowiek siebie nie zna. Mówiłam sobie, że znam siebie doskonale, i zawsze potrafię zdać sobie sprawę z mego stanu moralnego. O! zarozumiała i niebaczna! Tak drobna okoliczność dała mi poznać, jak dalece się mylę, i zachwiała łudzący spokój, który mi duszę kołysał.

Dziś zrana przyjechała Zofija. Wpadła piękna i strojna do cichego salonu Brzóz, i przyniosła z sobą jakieś echo gwaru i odmętu dalekiego wielkiego świata. Nie wiem dlaczego, pomimo méj życzliwości dla miléj księżnéj i jéj znów dla mnie wielkiéj serdeczności, to echo wydało mi się jakimś akordem rozstrojonym i niemiłym w cichéj harmonii życia naszego.

Uderzył mnie tylko i zakłół dziwnie wyraz domyślny — przyjacielsko-żartobliwy, z jakim Zofija objęła w jedném przelotném wejrzeniu mnie i Olega.

Po całodziennéj gawędzie, gdy przyszła chwila zwykłego naszego spaceru, Oleg zapytał księżnę, czyby ją to nie bawiło przejechać się konno. Spróbuję — rzekła księżna, i porwawszy mnie za rękę, pobiegła robić toaletę do mego pokoju. Ukończyła ją śpiesznie i niedbale, choć zwykle lubi się stroić, i wzięła się z zapałem jakimś do mego ubioru. Zmusiła mnie, bym usiadła, rozwinęła mi włosy z wielkiemi zachwytami nad ich kolorem, blaskiem i pięknością, i ułożyła artystycznie; potem ubrała mnie sama tak starannie i kokieteryjnie, jakby nie wiem co na tém zależało; zaprowadziła przed zwierciadło i kazawszy mi się przejrzeć pociągnęła śpiesznie na dół.

Na ganku stał już Oleg, który nam miał towarzyszyć, hrabina była nie zdrowa, musiała więc zostać w domu, i Lunia została także, dla dotrzymania towarzystwa małéj córeczce księcia M. z pierwszego małżeństwa, którą Zofija z sobą przywiozła.

Jeździliśmy dość długo, bo Zofija ciągle zapewniała, że nic ją bardziéj nie zachwyca, jak konna jazda; wyprzedzała nas często i wracała do nas; ztąd wypadało, że kilka razy byłam samą dość długo z Olegiem; ale nie mogłam się obawiać żadnego płochego słowa; brat nie mógłby otaczać siostrę opieką pełną prawdziwego poszanowania jak ta, którą szlachetny młodzian mnie otaczał. Zdawał się więcéj poważnym jak zwykle — i uderzyło mnie raz dziwnie melancholiczne brzmienie jego głosu.

Wróciliśmy do zamku. Zebrało się w salonie całe nasze towarzystwo na herbatę wieczorną. Księżna była więcéj jeszcze ożywioną, zaczęła opowiadać szczegóły niedawnego swego pobytu za granicą, i wypytywać Olega o Paryż; kazała sobie pokazać znaczny zbiór fotografij znajomych paryzkich, który Oleg posiada; z kolei je przeglądając, natrafiła na śliczną główkę panienki, w długich kędziorach ciemnych.

— Ach! to hrabianka Leonija Z. — zawołała. Poznałam ją u wód w Baden. *Et savez vous qu'on dissait, mon cousin?* Mówiono na pewno, żeś się pan o nią starał, żeście już nawet zaręczeni! Jeśli to sekret, wszak dla mnie tak blizkiéj krewnéj istnieć nie powinien.

— Dałby to Bóg, rzekła hrabina, patrząc na syna z uczuciem, żeby to było prawdą! Nie mogłabym wymarzyć ze wszech względów stósowniejszéj partyi dla Olega.

Ja znów nie mogłabym opisać co się we mnie stało, w téj krótkiéj chwili rozmowy, którą przytaczam. Przerażające światło błysło mi w głębiach duszy; poczułam

po dziwnym bólu, jaki mnie przeszył, że szalone uczucie, o którego istnieniu nie domyślałam się nawet, owładnęło mnie z siłą niepojętą.

Spuściłam głowę, i zostałam tak w odrętwieniu, patrząc machinalnie na tę główkę z ciemnemi kędziorami, którą mi księżna podsunęła przed oczy, jakby niechcący. Szczęściem, cień długi od dużego wazona z kwiatami padał na moją twarz; nikt nie mógł spostrzedz jéj wyrazu, a niezwykłym być on musiał w téj dziwnéj chwili, w któréj doznałam nieznanego wrażenia, straszliwego jak jakaś wymyślna tortura. Czekałam tak na odpowiedź Olega.

Odpowiedzi nie było. Oleg w czasie téj rozmowy siedział przy fortepianie, i zcicha brał tęskne jakieś akorda. W chwili, gdy panie te mówić przestały, z roztargnieniem umyślném czy nieudaném, nie wiem do prawdy, uderzył mocniéj w klawisze i grać zaczął jakąś piękną i poważną sztukę, którą bardzo lubi i artystycznie wykonywa.

Słyszę pantofelki księżnéj na kurytarzu... idzie do mnie.

* * *

— Czy bardzo się gniewasz na mnie? spytała mnie księżna, w uścisku wesołém i serdeczném.

— Za co? spytałam w zamian spokojnie.

Za mały *coup de théatre*, jaki dziś urządziłam — rzekła Zofija śmiejąc się. Nie gniewaj się moja prześliczna kuzynko, zaraz ci się wytłumaczę. Otóż zacznę odrazu od wielkiego wyznania. Czy Lunia śpi?

Poszła sama do łóżka dziewczynki, posłuchała chwilę, i uspokoiwszy się pod tym względem —

— Otóż zacznę od wyznania, powtórzyla. Lokując cię w Brzozach, miałam z góry zamiar stanowczy.

— Jaki?

— Najprostszy w świecie; wydania cię za Olega. Bardzo ci tak do twarzy z tym zadziwionym wyrazem; chciałabym, żeby cię Oleg widział w téj chwili. Pobudki zaś utworzenia się mego projektu są te: naprzód moja bardzo wielka przyjaźń i admiracja dla ciebie, powtóre: chęć małéj zemsty na hrabinie, która mnie raz nazwała: *cette parvenue*.

Będę miała zasługę w tém, żem się trochę przyczyniła do uformowania małżeństwa dwojga doskonałości, (co do mnie, nie chciałabym mieć męża tak bardzo doskonałego, bo czułabym się upokorzoną porównaniem i los mi w tém dogodził, przyznasz bowiem moja droga, że nikt memu księciu nie może zrobić tego zarzutu, żeby był doskonałym). Dla tego dziś chciałam, zmyśliwszy wieść o zaręczynach Olega z hrabianką Leonją, (która nawiasem, jest zbyt lalką, aby się mogła podobać człowiekowi tego rodzaju co Oleg); chciałam, byś się zrozumiała i wyszła w końcu z téj dziecięcéj nieświadomości, któraby wszystko popsuć mogła. I we wszystkiém udało mi się doskonale. Oleg pobity, bo najdoskonalszy mężczyzna potrzebuje do uroku wartości moralnéj, potężniejszego jeszcze dla nich uroku piękności powierzchownéj, a ty dziś byłaś tak śliczną na tym koniu, jak nigdy ciebie jeszcze nie widziałam; powtóre wiesz, że się zrozumiałaś doskonale, bo choć ten wazon liściasty ocieniał ciebie, spostrzegłam jednak wyraz twojéj twarzy, kuzynko! O jak ty go kochasz! Nie kochaj go tylko zanadto, moje dziecko... mogłabyś być nieszczęśliwą, a ja nie chcę, byś nią była. Ale mam nadzieję, że wszystko pójdzie doskonale. Uściskaj mnie... dobranoc...

I szalona kobieta wybiegła szybko z pokoju, jakby nie chcąc slyszeć odpowiedzi mojéj, na cały ten potok słów, zostawiając mnie bezbronną na pastwę tysiąca myślom, które powstawały jedna po drugiéj, z jakichś głębi nieznanych, i zalewały mi umysł, szumiąc w nim razem, jak powódź jakaś fantastyczna.

* * *

Nie sądzę jednak, by kto mógł dojrzeć jaką zmianę na mnie, gdy wyszłam na drugi dzień z mego pokoju.

Księżna miała jechać zaraz zrana; okazała taktu o tyle, że ani słowem, ani wyrazem twarzy nie zrobiła żadnéj aluzyi do wczorajszéj naszéj rozmowy w przeciągu kilku godzin, które jeszcze z nami przepędziła; wsiadając jednak do powozu nie zdołała wytrzymać, żeby mi nie rzucić choć jednego słowa znaczącego: Kończ — szepnęła do mnie w ostatnim uścisku.

Lżéj mi się zrobiło, gdy powóz księżnéj znikł z dziedzińca; wzięłam się zaraz, tak serjo jak nigdy jeszcze do nauki Luni, i dzień przeszedł mi bardzo spokojnie, choć jakiś smutek, którego nie rozbierałam towarzyszył mi w każdéj czynności mojej; widok Olega nie mięszał mnie wcale, rozmawiałam z nim tak naturalnie jak zawsze, ale i on był smutnym, a nie ukrywał tego usposobienia, tak jak ja. Uważałam to nieraz, że pod tym względem mężczyźni nie mają tyle mocy duszy co my...

Hrabina spostrzegła to melancholiczne usposobienie syna, i przypisala je zbytecznéj spokojności i powadze naszego życia. — Księżna mu przypomniała opowiadaniami swemi — rzekła hrabina do mnie, świat wielki, ze swojemi zabawami i świetnością, mający tak potężny urok dla młodego człowieka, co bardzo naturalném i godziwém znajduję. Biedny Oleg poświęca się, by nam dotrzymać towarzystwa w naszych spokojnych Brzozach; wiek mego męża i moje zdrowie potrzebują spokoju; ale młody człowiek dwudziesto-pięcioletni tak żyć nie może; gdyby choć młoda i piękna żona z imieniem i majątkiem, odpowiedniemi słusznym wymaganiom, jakie Oleg mieć może, słodziła mu życie w tém ustroniu! Ale Oleg się nie decyduje, choć tak łatwoby

mu było ożenić się dobrze; wszystkie matki go pragną — i nie uwierzy pani, jakie mi robiono nieraz awanse, do śmieszności wyraźne i znaczące; niektóre jednak z tych awansów nie były do odrzucenia; hrabianka Leonja naprzykład owa ładna szatynka, o któréj księżna mówila, byłaby partją bardzo stósowną — Oleg mówi, że mało ma wykształcenia; ja tego nie widzę, i znajduję, że umie wszystko co jéj umieć potrzeba; nie mogę wprawdzie gromić zbytecznie mego syna za wymyślność jego, bo (może to zaślepienie macierzyńskiego przywiązania), przyznaję, ma prawo do wymyślania. Zresztą oboje tak wielkie nadzieje na tym synie pokładamy — mówiła daléj hrabina, i oko jéj łzą zaszło. On ma być wielką i jedyną pociechą naszéj starości, i wynagrodzić nam przeszłość. Gdybym się na nim pod tym względem zawiodła, co nigdy jednak nie przypuszczam na serjo, pewną jestem, żebym nie przeżyła drugiéj boleści podobnéj téj, jaką już raz zniosłam.

W chwili, gdy hrabina wymawiała te słowa: *de demi confidence*, które mnie zdziwiły i zastanowiły mocno, wszedł służący z paczką listów i gazet z poczty; po odczytaniu listów, hrabina wzięła się spokojnie do zwykłego swego obowiązku rozcinania gazet dla męża; między innymi dziennikami był numer „Paryzkiéj Illustracyi“, który hrabina przeglądać zaczęła. Ale zaledwie przeczytała słów kilkanaście, wydrukowanych obok jakiegoś portretu, zbladła śmiertelnie i osunęła się na poduszki kanapy, w okropnym ataku spazmatycznym.

Krzyknęłam przerażona i rzuciłam się do niéj, by ją ratować. Na odgłos mego krzyku wpadli obaj panowie, którzy byli niedaleko. Oleg pomagał mi trzeźwić matkę, a stary hrabia otrząsnąwszy się szybko z wrażenia i przestrachu, zapytał mnie, co było powodem ataku hrabinéj.

— Nie wiem doprawdy — odpowiedziałam. W chwili, gdy ataku dostała, czytala spokojnie ten numer dziennika.

Hrabia chwycił go szybko, tak jak leżał otwarty, spojrzał na portret i czytać zaczął... i o zgrozo! ten wzór nieporównanéj przyzwoitości — tupnął nogą tak silnie, że aż zadrżały szyby w oknach, i zaklął strasznie, wprawdzie po francuzku.

— Co tam jest, mój ojcze? zawołał Oleg.

— *C'est cette damnée!* krzyknął hrabia.

W téj chwili biedna hrabina przychodziła do przytomności; Oleg podniósł ją ostrożnie, wziął na ręce jak dziecinę i zaniósl do jéj pokoju, gdzie poszłam za nim. Położyliśmy ją do łóżka i zostaliśmy przy niéj oboje, oczekując na lekarza. Okazała się silna bardzo gorączka; Oleg okropnie niespokojny, bo kocha matkę z całą siłą i czułością szlachetnéj miłości synowskiéj. Widok tego mężnego i energicznego młodzieńca, złamanego boleścią i niepokojem, wzruszył mnie bardzo.

— Pan się zbytecznie przeraża, rzekłam. Nie przypuszczam, żeby życie hrabinéj było w niebezpieczeństwie.

— Jednak tak jest, na nieszczęście — odpowiedział Oleg. Okropna choroba, jakiéj matka moja uległa przed kilkoma laty, i z któréj wyszła prawie cudem, jak mówili lekarze, zaczęła się tak samo i prawie z téj saméj przyczyny.

W téj chwili wszedł lekarz... na widok choréj twarz jego przeciągnęła się. I nic dziwnego, bo już przeszło dni kilka, a stan hrabiny się nie polepsza. Ja i Oleg pilnujemy ją, razem albo na przemian, przez dnie i noce całe.

Wczorajszéj nocy zostałam samą przy hrabinéj; chora spała spokojnie — bojąc się zasnąć także, szukałam coś do czytania; w pokoju hrabinéj nic nie było; poszłam więc cichutko do blizkiego salonu i wzięłam gazety leżące na stole: z wierzchu właśnie leżał ów fatalny numer Illustracyi; otworzyłam go i na wstępie uderzył mnie bardzo ładny portret młodéj osoby południowego typu; obok téj ryciny wyczytałam: „Podajemy tu portret młodéj artystki z florenckiéj sceny, odznaczającéj się tak pięknym głosem, jak powierzchownością; signora Dolorosa Juccati wystąpiła kilka dni temu z nieopisaném powodzeniem; wystąpienie to nie jest jednak pierwszém; przed kilku laty scena tutejszego teatru cieszyła się piękną tą artystką, wówczas bardzo jeszcze młodziutką; ale ją wkrótce utraciła — i opowiadano w owym czasie sentymentalne historje o signorze Juccati; to jednak możemy o niéj powiedzieć z pewnością, iż ma prawo legalne do jednego z pięknych imion arystokracyi polskiéj.

„Słyszeliśmy, iż dyrektor opery włoskiéj w Paryżu, zamówił pannę Juccati (bo tak się dotąd nazywać każe, nie wiemy na jak długo) na przyszłą zimę; wkrótce więc nazwisko młodéj artystki, to które nosi po rodzicach, lubo owe drugie, do którego ma prawo, odbierze sankcję sławy, którą Paryż nadaje ostatecznie każdéj scenicznéj osobistości i zyszcze rozgłos europejski“.

Odczytawszy te słów kilka, zrozumiałam bardzo łatwo wszystko to, co dotąd było jeszcze dla mnie tajemnicą. Zamyślona, wpatrzyłam się w śliczne uśmiechnięte oblicze aktorki, w powabnym ubiorze jakiéjś roli z opery.

Więc to powód dawnéj i nowéj rozpaczy hrabiostwa P., ona tajemnicza żona ich syna Romana, matka Luni!

Zamyśliłam się tak głęboko, że nie słyszałam wejścia hrabiego Olega, który się przyszedł dowiedzieć o zdrowiu matki. Stał za mną długo, wpatrując się także w portret swéj pięknéj i nie arystokratycznéj bratowéj.

(Ciąg d. nast.)

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Dokończenie.)

— Ach, toby mnie bardzo cieszyło. W taki sposób czekałyby mnie tutaj jeszcze dwie przyjemności, bo trzeba panu wiedzieć, że my tu dziś w nocy będziemy mieli w domu uroczystość wielką — anibyś pan zgadł jaką.

— Może zaręczyny pani?

— O nie, jeszcze coś ładniejszego. U naszéj gospodyni rafają dzisiaj w nocy len i to z muzyką. Wesele z muzyką to zwyczajna rzecz, ale robota z muzyką — to musi być coś prześlicznego. I to jeszcze w nocy, w stodole, przy latarniach — ach, jakże się cieszę na to. Pan widziałeś to kiedy?

— Nieraz. Lud tutejszy lubi namiętnie taniec i muzykę i niczém go tak nie znęci do roboty, jak temi ponętami. Na dolinach potrzeba pracownikom wódki, jadła, pieniędzy; tu byleby gospodarz ogłosił, że będzie u niego granie — z różnych stron zlecą się dziewczęta i parobcy, i podczas, gdy jedni pracują, drudzy tańczą i tak naprzemiany. Rodzaj tańca, który jest raczéj solowym popisem niż towarzyską zabawą i nie potrzebuje wiele przestrzeni, ułatwia im ten rodzaj zabawy. Śmiechy, pogadanki i serdeczna wesołość panują zwykle na takich zebraniach i to nie tylko przy rafaniu lnu. Również przy wybieraniu go, przy kośbie, przy kopaniu ziemniaków usłyszysz pani muzykę.

— A to bardzo pięknie.

— Proszę panów na przekąskę — odezwała się ciocia przez okno.

— Służę pani.

Weszliśmy do izby, gdzie na stole stała już wódeczka, salami, owoce, serki i masło obok świeżego chleba.

Uważałem, że profesor był czegoś mocno roztargniony i jakąś ważną myślą zajęty. Kieliszkiem chciał nabierać masło, plasterek sera zamaczał w musztardzie, a chcąc sobie nalać wody, wziął zamiast karafki flaszkę z wódką.

— Bój się Boga, co ty robisz? co tobie jest? — spytałem po cichu.

— O! pani dobrodziejko — odrzekł kłaniając mi się.

— Jakto? pani dobrodziejko?

— Profesor widocznie zakochany — odezwała się pani Pipczyńska, którą także zdziwiło zachowanie się profesora.

— Wdzięczen pani jestem za to słowo, które mnie ośmiela do wynurzenia uczuć moich. — Tu krząknął dla nabrania odwagi i musnął się po brodzie. — Krótkość czasu, odjazd pań niech poczęści wytłumaczy postępowanie moje. — Nie tajno zapewne paniom, że przez ten krótki przeciąg tak mile spędzonego czasu starałem się o pozyskanie względów pań.

Ciocia domyślając się dalszych słów zarumieniła się tak, że róż jéj policzków wydawał się przy tym rumieńcu jak przekwitająca, blednąca róża i podobna szesnastoletniéj pensjonarce, spuściła wstydliwie na dół poczernione rzęsy. — Profesor mówił daléj:

— Postępując jak na uczciwego człowieka przystoi, postanowiłem dziś jawnie wynurzyć moje zamiary. Mam nadzieję, że stateczność i stanowisko moje zjednają mi pozwolenie pani.

To mówiąc, zbliżył się do cioci i pocałował ją w rękę. Ciocia pod wrażeniem uczuć usiadła i poprosiła o szklankę wody.

— Chwila ta ważna — szepnęła drząca z westchnieniem — potrzeba mi się namyśleć.

— Gdyby był czas po temu — odezwała się pani Pipczyńska wchodząca jako pośrednik w tę sprawę — ale pani jutro jedzie, więc zdecydować się trzeba stanowczo.

— A więc dziej się wola nieba — wydeklamowała patetycznie i podała mu kościstą dłoń swoją.

Uszczęśliwiony, rozpromieniony profesór zwrócił się teraz do Pauliny, przypatrującéj się z dziecinném zadziwieniem téj całéj scenie.

— Panno Paulino! teraz, gdym zyskał pozwolenie cioci, śmiem zapytać o twoje zdanie.

— A cóż ma moje zdanie do tego. Jeżeli się ciocia zgodziła — to i koniec.

— Spodziewałem się tego — rzekł profesor i biorąc nieprzygotowaną na to Paulinę za rękę, zbliżył się z nią do cioci i klękając prosił:

— Pobłogosław nas.

— Co? — wrzasnęła ciocia osłupiała.

— Panie, co to ma znaczyć? — zawołała płaczącym głosem Paulina, i wyrwawszy rękę swoją z dłoni profesora, uciekła do ciotki.

— Więc pan o Paulinę? — odezwała się pani Pipczyńska.

— A o kogóżby? — spytał profesor, który się nie mógł połapać w tém nieporozumieniu.

— I pan śmiałeś coś podobnego? — jęknęła znowu ciocia.

— Panie, to jest niegodnie — dorzuciła Pipczyńska.

Nastąpiły lamenta, spazmy, wykrzykniki oburzenia, pokątne śmiechy. Wśród ogólnego zamieszania profesor cichaczem podnosił się z klęczek i otrzepawszy kolana, wyniósł się coprędzéj jak wygwizdany komedjant ze sceny — nie mogąc sobie w głębokiéj uczoności swojéj tego wytłumaczyć, dlaczego ciocia raz zezwoliła, a drugi raz protestowała i spazmowała.

Ja zostałem jeszcze czas jakiś uspokajając te panie i tłómacząc biednego profesora.

— A to infamis — mówiła pani Pipczyńska chodząc prędkiemi krokami po pokoju i trzęsąc się cała.

— Zdrajca — dodała ciocia z głębokiém westchnieniem.

— Widzisz go — figura — profesor obojga kaligrafij o pannę młodą i posażną — Herciu, niech ci to będzie nauką, jak masz postępować z podobnego rodzaju ludźmi. Zdaleka, zawsze zdaleka — jak najdaléj.

— A wiesz pan co — odezwała się wreszcie do mnie Paulinka, która dotąd do słowa przyjść nie mogła z zadziwienia — teraz zączynam wierzyć w natchnienie pana i w jego proroczego ducha. — Wszak pan przepowiadałeś mi dzisiaj zaręczyny.

— Nie chcąc popsuć wrażenia, wynoszę się w téj wspaniałéj roli. Żegnam panią.

— Jakto i nic mi pan nie napiszesz do albumu? — zapytała zadąsana. — Wszak pan obiecałeś.

— Prawda.

Podała mi album pełne wierszy, niezapominajek, bratków, wszystkie przeważnie były z podpisami jéj koleżanek. Wśród tego seraju niewieścich imion rozsiadłem się jak basza z moim podpisem i czułym wierszem:

Pani wio! a ja het!
I nie ujrzym się już wnet;
Lecz to niechaj boleść studzi,
Że ujrzymy innych ludzi.

Posypałem wiersze piaskiem z powagą, jakbym im ostatnią oddawał posługę i wręczyłem je Paulince.

— Fe, ja nie chcę takich wierszy.

— A jakich?

— Ładniejszych, czułych.

— Te wyszły z mody. Dziś gdy o tylu drobnostkach pamiętać musimy, proszenie o pamięć jest niegrzecznością. Dlatego i ja nie proszę o nią. Pamiętaj pani o mnie, dopóki nie zapomnisz.

Podałem jéj rękę i życząc wszystkim szczęśliwéj podróży, wysunąłem się z izby.

Niebo już się zupełnie wypogodziło, chmury jak kurtyna podniosły się górą w kształcie obłoków białych i rozpłynęły od gorącego oddechu słońca — upał zaczynał trochę dokuczać; zeszedłem więc z drogi w las. W lesie była cisza, żaden wiatr nie kołysał drzewami, pod skwarem słońca stały one milczące, znużone jak niewolnice na targu; ptastwo nawet umilkło i cicho przysiadło w zaroślach; tylko drobne muszki, owady, mrówki i te żyjątka, których istnienie kończy się z zachodzącém słońcem — igrały, roiły się, pracowały, brzęczały. Usiadłem nieco przypatrując się temu mikroskopowemu prawie światu; patrzałem na mrówki snujące się rzędem po suchém szpilkowém posłaniu lasu i pokręconych korzeniach drzew, na owady z przejrzystemi skrzydełkami podlatujące nad moczarami, na pszczoły brzęczące koło słodkich kwiatów i czułem się guliwerowskim olbrzymem wśród tych drobnych istót. Leżąc tak, zauważyłem, że na krawędzi lasu jakiś góral stał i ciekawie coś wypatrywał z za drzewa. Jego tajemnicze zachowanie się zwróciło moją uwagę, wstałem i podszedłem ku niemu. Szelest moich kroków spłoszył go, obejrzał się niespokojnie i spostrzegłszy mnie udał, jakoby szedł z pospiechem — minął mnie i zniknął w lesie. Patrzałem jakiś czas za nim, bo zdawało mi się, żem już gdzieś widział tego górala, że znam jeżeli nie twarz jego — to ubiór i ruchy. Czekałem czas jakiś — nie pokazał się więcéj. Zwróciłem wtedy oczy na pole szukając niemi czego góral tak pilnie upatrywał. Nic jednak nie oświeciło mnie w tym względzie — na polu nie było nikogo, gorąco wszystkich więziło w chatach. Poszedłem ku domowi. W drodze zatrzymałem się przed chatą starego Marcina. W sieni siedziała jego mniszka i przesuwała koronki.

— Jest ojciec? — spytałem.

— Nie ma — ja sama w chacie. Tatuś poszli do Kesmarku na jarmark, nie wrócą aż jutro.

Nie prowadziłem z nią dalszéj rozmowy, widząc, że dziewczyna większą ma ochotę do pacierzy niż do gadania — i spuściłem się ścieżką ku rzece; koło kładki w cieniu zarośli siedziała Franka i trzymała w rękach jakiś papier.

— Czekam na was panoczku, przyniesłam z poczty jakieś pisanie do was:

List był od moich znajomych ze Szczawnicy, którzy donosili mi, że czekają na mnie, aby mię zabrać do siebie na wieś. Ta wiadomość przyspieszyła mój wyjazd; postanowiłem jutro opuścić Zakopane. Podczas czytania listu, Franka, która mi się dziś wydawała dziwnie niespokojną i rozgorączkowaną, przestępowała z nogi na nogę, oglądała się — widocznie niecierpliwie czekała na moje odejście — z szybkością nadzwyczajną przeleciala kładkę i pobiegła ku lasowi. Teraz dopiero przypomniało mi się zkąd znałem owego górala, którego spotkałem w lesie, był to Jonek.

VI.

Na drugi dzień rano niezwykły gwar obudził mnie ze snu, usłyszałem głosy kilku kobiet rozmawiających żywo i głośno lamentujących.

— Co się stało? spytałem Tereski wchodzącéj do izby, widząc i ją zmienioną i sturbowaną.

— Nieszczęście, okropne nieszczęście — Maryśkę zabito dziś w nocy.

— Którą Maryśkę?

— Marcinową. To niczyja sprawka, tylko tego łotra Matei. Oj co teraz, to się nie wymiga od szubienicy.

— I dla czegóż ją zabito?

— A dla czegóżby jak nie dla pieniędzy. Stary Marcin uchodził we wsi za bogatego — rabuśniki podpatrzyły chwilę, kiedy go w domu nie było i napadli. Ale pieniędzy nie znaleźli, tylko pięć papierków.

Kiedy Tereska mówiła o podpatrywaniu, przyszedł zaraz mi na myśl Jonek; teraz dopiero wytłómaczyłem sobie jego podejrzane zachowanie się, jego skrywanie się za drzewami, z za których śledził Marcinową chatę.

— Gdzie jest Franka? spytałem.

— Od wczoraj zniknęła bez śladu. Zabrała zawiniątko swoje ze skrzyni i przepadła jak kamień w wodę.

Wypadek ten zaniepokoił mnie mocno; wstałem, ubrałem się pospiesznie i udałem się na miejsce zbrodni. Koło domu stało dużo ludzi gromadkami i rozprawiało i robiło najrozmaitsze przypuszczenia. Drzwi od chaty były na oścież otwarte. Wszedłem do izby. Na podłodze koło komina, przez który szare światło padało na ciemną izbę, leżał trup Marysi z siną jak żelazo twarzą; na szyi czerniła się pręga od sznurka, którym ją duszono; odzież miała potarganą, ręce pokaleczone; widocznie broniła się rozpacznie i szamotała ze zbrodniarzami; w zaciśniętych palcach miała jeszcze koronkę, z którą ją wczoraj widziałem w sieni. Odwróciłem się od tego bolesnego widoku i wyszedłem przed chatę między ludzi. Wszystkich podejrzenia skierowane były na Mateja, utrzymywano, że dawno już robił sobie apetyt na mienie starego rybaka, przypuszczano, że przy rabunku musiał mieć wspólników. Komisja sądowa, która na drugi dzień zjechała do Zakopanego, była również tego zdania i poleciła żandarmom dostawić Mateja. Mówiono potém, że wyprawę tę miał odbyć z kilkoma wspólnikami swymi, że potem nie chcąc ich przypuścić do podziału, sam z jednym tylko wspólnikiem wykonał zamiar; że reszta obrażona chcąc się zemścić na nim, poszła do Sądu, przyznała się do winy i odkryła wszystko. Mateja jednak nie można było odszukać; przetrząśnięto jego mieszkanie na Pardołowie pod lasem; dom jego braci w Kościeliskach, ale napróżno, bo Matej w tym właśnie czasie wałęsał się już w okolicy Morskiego oka. Przez dwa miesiące ukrywał się tak w górach i nużył żandarmów ścigających go niezmordowanie. Parę razy nadludzkim prawie sposobem wywinął im się z rąk. Raz osaczyli go w domu, do którego wszedł na nocleg; pomimo to uszedł szczęśliwie, zostawiwszy w sianie broń i ubranie. Drugi raz żandarmi spostrzegli go odpoczywającego na skale; obsadzili więc co prędzéj wszystkie przejścia i zrobili na niego obławę. Matej spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, zerwał się i chyłkiem wsunął między zarośla. Żandarmi postępowali ku temu miejscu ścieśniając się w coraz gęstszy pierścień, nie prześlepili żadnego krzaka, żadnego załomu i nic nie znaleźli — znikł im, jakby się pod ziemię schował.

Aż wreszcie po jakimś czasie umęczonego tém ciągłém ściganiem chwycili fortelem. Było to w Kościeliskach, w mieszkaniu trzech jego braci, również nieuczciwém parających się rzemiosłem. Żandarmi weszli tam jednego razu i ukryci na poddaszu oczekiwali przybycia zbrodniarza. Rzeczywiście nad ranem pokazał się. Wyszedł z lasu, ostrożnie obejrzał się w około, obszedł zdaleka całe domostwo i powoli, ukradkiem zbliżając się wszedł na podworzec. Tu zapukał do chaty, i gdy jeden z braci wyszedł do niego, Matej go zapytał, czy w chacie nie ma kogo, czy żandarmi nie byli tutaj i nie szukali go. W téj chwili ukazali się z za węgła domu żandarmi i z wymierzonemi karabinami zbliżali się ku niemu. Zuchwały Matej zbladł jak ściana, odwaga i przytomność go odstąpiły, padł na kolana i bez oporu wziąść się pozwolił. Gdy go prowadzono przez wieś skrępowanego płakał, słysząc ludzkie złorzeczenia i przekleństwa. Odstawiono go do kryminału do Sącza; ale mimo poszlak jakie miano na niego nic mu udowodnić nie można było. Wyparł się wszystkiego; i nawet zachowanie się swoje przy aresztowaniu przytaczał jako dowód swojéj niewinności, że się nie bronił wcale widząc, iż go jako niewinnie posądzonego sąd sam uwolni, że byłby sam wrócił z gór, gdzie polował na kozy, gdyby był wiedział, że go szukają.

Kiedy następnego roku zwidzałem Tatry, ludzie już głośno rozpowiadali, że Mateja wnet puszczą dla braku dowodów.

Tyle o sławnym opryszku tatrzańskim. A teraz wracam do dalszego toku mego opowiadania.

Wypadek w Marcinowéj chacie niemiłe na mnie zrobił wrażenie; rad byłem, że co prędzéj opuszczę te miejsca, choć z drugiéj strony żal mi było tych cudownych widoków, tego świeżego powietrza i czystéj wody. Koło południa byłem już w Nowym-targu.

W sklepie Lauera spotkałem się z memi paniami. Paulinka przywitała mnie wykrzyknikiem zadziwienia, tylko ciocia trochę kwaśną zrobiła minę spostrzegłszy mnie; obawiała się zapewne, czy przypadkiem nie tęsknota za Paulinką przypędziła mnie za niemi; uważałem nawet, że z panią Pipczyńską cichą w tym względzie prowadziła naradę illustrowaną żywemi gestami. Dla uspokojenia tych pań i zrehabilitowania siebie, oświadczyłem im cel i kierunek méj podróży i ofiarowałem się towarzyszyć im do Czorsztyna. Wyruszyliśmy tam niebawem. Droga ciągnęła się wzdłuż Dunajca, który tutaj płynie już szerszém korytem, złączywszy pod Nowym-targiem obadwa swoje strumienie. Za rzeką ciągnęły się łańcuchem lesiste pagórki, nad któremi chmury i obłoki oświecone słońcem, fantastyczne przybierały kształty. To naśladowały apokaliptyczne potwory, mieniąc co chwila barwy i kształty; to się

składały w grupy skał olbrzymich. Niektóre z nich wyglądały jak pokurczone czarownice, odziane w sine płachty, a inne czerwone jak rozpalone szatany przewalały się po niebie z dziwnemi grymasami. Potem wszystko pociemniało i już zmierzch opadł na ziemię, gdyśmy stanęli pod zwaliskami Czorsztyna.

Wznosi się on na nagiéj skale. Z pozostałego szkieletu ruin można odgadnąć, czém był dawniéj. Wysokie skały w koło niego utworzyły naturalny mur, a położenie czyniło go niedostępnym i niezdobytym. Ale przyszedł piorun i roztrzaskał twarde mury, a resztę zniszczenia dokonali właściciele.

Pomimo późnéj pory namówiłem panie na zwidzenie zwalisk. Księżyc wyszedł właśnie z za gór, gdyśmy stanęli na górze. Wieczór był cichy, pogodny — a na tle jasnego nieba groźnie rysowały się mury zamczyska sępiego. Jeden odłam muru wyższy nad inne, wydawał się jak ręka wyciągnięta ku niebu i grożąca, a puste okna zarosłe chwastami jak oczy w trupiéj czaszce. Nad ruinami krążyły puszczyki i piskliwym głosem podawały sobie hasło. Z drugiéj strony srebrzystego gościeńca rzeki z ciemnego świerkowego lasu wychyliła się nad przepaść Niedzica (zamek stojący już na stronie węgierskiéj), w bieli jak niewiasta.

— Taką samą noc miałem — pamiętam, gdym pierwszy raz zwidzał te miéjsca — rzekłem przerywając milczenie, w jakie nas pogrążyły ruiny. Całą tę noc przepędziliśmy pod tamtą oto skarpą muru, a pamięć owéj nocy zapisałem sobie nawet w jakimś wierszyku.

— Nie pamiętasz go pan? spytała Paulinka.

— Chyba w urywkach.

— Ach prosimy, prosimy — dorzuciła ciocia.

— Wiersz ten odnosi się do jednego z moich znajomych.

— Słuchamy, słuchamy.

Już miałem zacząć, gdy wspomnienie panny Felicyi zamknęło mi usta. Rozśmiałem się mimo woli.

— Z czego się pan śmiejesz? spytała Paulinka wsparta na mojém ramieniu.

— Z podobieństwa mego w téj chwili do panny Felicyi.

— Dziwak z pana — rzekła głośno, a po cichu dodała — ja proszę.

Prośba była tak czuła, noc tak piękna, że uległem pokusie, krząknąłem i zacząłem:

Noc na Czorsztynie.

Pamiętasz noc na Czorsztynie?
Niebo jak sine stepy —
Po niebie księżyc płynie
I patrzy w puste zamku czerepy,
Co na tle jasnego błękitu
Siadły wysoko od ziemi,
Jak sęp z skrzydły obwisłemi
Na nagiéj skale granitu.

Pamiętasz jak zakapturzeni,
Niby mnichy — w zadumanie —
Siedzieliśmy, mając za posłanie
Kiry zamkowych cieni?

U nóg naszych ziemia uśpiona,
A mgła jak z muślinu zasłona
Po nad senną ziemią się kołysze.
Za mgłą Dunajec wśród białych kamieni
Srebrnemi wodami się pieni,
I szemrze pacierze mnisze.
I ta noc w górach osnuta cichemi
Tajemnicami i nieba i ziemi
Jako sen piękny przed nami stała.

A gdy chłód nocy zziębił nam ciała,
Tyś szedł po skałach zbierać gałązki,
By ognia niecić niemi,
I koło zamku przenosząc wiązki
Kłaniałeś się aż ku ziemi
Przed omszonym murów głazem,
(A z tobą długi, czarny cień razem)
I wołałeś: „Czorsztyński starosto!
Nie karz mnie ty turmą ani chłostą
Za tych kilka suchych drewek panie“.
A to cierpkie twoje urąganie
Z umarłych grzechów — zamkowe mury
Powtarzały echem w takt ponury,
Niby na basztach rozstawione straże. —
Za chwilę ogień oświecił nam twarze,
I gęste dymu zwoje
W rozwalone zamkowe podwoje
Płynęły jako białych duchów zgraje,
O których piastunka nam baje.

Leżeliśmy wszyscy w milczeniu —
Jam głowę miał jak Jakób na kamieniu,
Patrzałem na zamek do góry,
A sterczące jak szkielety mury
Dziwne na siebie brały postacie:
— To dwóch pielgrzymów w zakurzonéj szacie,
A krople potu czoła im roszą —
Stoją przed bramą i o nocleg proszą.
— To znów inny muru kawał
Białą niewiastą mi się wydawał;
Co ku przepaści schylona zlekka
Widno tęskni i czeka....
Może na tentent rumaka....
Może na pieśń błędnego śpiewaka....
A inne znowu Czortyńskie głazy
Jak wojsko nieme czeka na rozkazy.

A gdy sen mi ociężył powieki,
Złudne z starych kamieni obrazy
Przeniosły mnie całkiem w dawne wieki.
Spienionego Dunajca szum dziki
Sen przemienił w tatarskich hord krzyki —
Na niebie czarném jak całuny
Znaki najazdu — czerwone łuny,
A lasy jak kadzielnice pogrzebu
Ślą dymy czarnemu niebu. —
Nad zamkiem chmury — Dunajec wzdęty
Na skały rzuca mętne fale,
I szklanne piersi rozbija na skale,
I wstecz zemdlony upada w odmęty —
Tak o Czortyński zamek stary
Tłuką się napróżno Tatary.

Nagle na murach kagańce zgasły —
Czy strach przeszedł po kościach staroście?
Brzęknął łańcuch przy zwodzonym moście,
To wycieczka nocna — hordy wrzasły
Przebudzona — wśród wąwozu wrzawa,
Świst, szczęk, jęki, krzyki dzikiéj hordy
Splątały się w straszliwe akordy, —
A z pod kopyt wznosi się kurzawa. —
Aż z pogmatwanéj owéj zawieruchy
Wstał trymfalny śpiew i okolicą
Twardy, poważny, jak rycerskie duchy,
Szedł śpiew: „Boga rodzico!“

Znów inna scena: zamkowe komnaty
Pełne świateł, panów polskich mnogo,
Wśród jasnych ogni od Węgier drogą
Jadwiga, w białe ubrana szaty,
W złotéj kolebce — przy niéj rycerze
W stalowe ubrani pancerze.
Górale patrzą z lasów ciemnicy
Na świetny pochód królowéj-dziewicy,
A lasy lasom podają z Czorsztyna:
„Elijen Lengel! — vivat regina!“

Wszystko to przeszło; — jeden piorun z góry
Roztrzaskał zamkowe mury,
Pod zamkiem chłopska siadła chałupa,
Okna puste jak w czaszce u trupa,
I komnaty wspaniałe w ruinie,
Na murach zielsko jak broda u dziada,
I lud z trwogą o zamku ci gada,
I żegna cię w wieczornéj godzinie,
Gdy na Anioł Pański dzwon wybija:
Ave Maria!

— I tak daléj i tak daléj — rzekłem i zakończyłem wiersz, jak grzesznik przy konfesjonale słowami: więcéj nie pamiętam.

— Szkoda! rzekła Paulinka, która przez cały czas deklamacyi nie spuszczała ze mnie niebieskich ocząt swoich. Pan mi zapiszesz ten wiersz do albumu — prawda?

— Będzie to z moją szkodą. Urok nocy pożyczał swéj piękności tym wierszykom; przy świetle dziennym stracą czar jak próchno i spłowieją.

— Tylko bez wymówek. Napiszesz pan i koniec — to już jest zadecydowane — mówiło dziewczę schodząc z góry. Nie podobna było protestować. Podczas herbaty Paulinka wręczyła mi album, które jéj na drugi dzień rano oddałem z owym wierszykiem. Konie już stały zaprzężone. Paulinka siadając na wózek przesłała mi na podziękowanie uśmiechnięte spojrzenie.

Odprowadziłem je aż do Niedzicy, a potem w półgodziny wyjechałem do Szczawnicy.

M. B.

A czy znasz ty bracie młody
Te pokrewne twoje rody?

Odwiedziny. Podajemy według Dziennika Poznańskiego opis przyjęcia i pobytu „Sokoła“ w Poznaniu: „W minioną sobotę zaledwie słońce zaszło i zmrok zapadać począł, liczne tłumy ludu snuły się drogą ku dworcowi kolei żelaznéj. Widziałeś tam wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, kobiety i mężczyzn, młodych i starych, — wszyscy byli jednem przejęci uczuciem, uczuciem serdecznego powitania tych, o których się wiele słyszało, a których się prawie wcale nie znało. Około godziny dziesiątéj dał się słyszeć zdala łoskot zbliżającego się a już naprzód zapowiedzianego pociągu nadzwyczajnego. Zebrana w kilka tysięcy publiczność jak gdyby iskrą poruszona elektryczną objawiała niedwuznacznie swoją radość a za nadejściem pociągu podniosła z serca płynący okrzyk: Niech żyją Galicjanie! — Na peronie dworca kolei już stali zgromadzeni członkowie komitetu składającego się tak z miejscowych jak i zamiejscowych obywateli. Gdy pociąg stanął i goście wysiedli z wagonów, wystąpił na ich powitanie członek komitetu p. Julian Bukowiecki, który do przybyłych w te przemówił słowa:

„W imieniu zgromadzonych tu mieszkańców miasta i siół Wielkopolski podnoszę pierwszy głos powitalny do was, szanowni i dostojni goście z Galicyi. Towarzysze Sokoła! wybiegliście z rodzimych gniazd od karpackich gór na dalekie wam, pozbawione uroku płaszczyzny nasze, by spocząwszy chwilę w Przemysława grodzie, zwiedzić pomniki nieliczne wieków minionych, teraźniejszość naszą poznać i uścisnąć ręce dotąd obcéj niemal braci.

Radość nasza wzrasta, gdy w gronie gości spostrzegamy i wątłą płeć niewieścią. Dzięki wam piękne panie, że lekceważąc trudy pospiesznéj wycieczki, zdążacie umaić najmilszym wdziękiem krótkie te dni zapoznania i wesela.

Jakiekolwiek przejmie was wrażenie u wstępu do cichych progów naszych, chciejcie uwierzyć, że chęci ku wam są najgorętsze, a gdy nieokazałe będą gościnności naszéj pozory, toż przynajmniéj serca nasze niechaj wydadzą się wam tak przejrzyste i otwarte, jak kraju tego równiny.

Ni pora tu ni miejsce do bliższego zbratania. Na dzisiaj pozostaje nam tylko dla uznojonych wędrowców zgotować noc spokojną, a szczerszym wynurzeniom damy folgę w dni następne, wśród zabaw da Bóg, niczém niezamąconych. Raz jeszcze: Witajcie nam mili goście od Karpat, całą duszą witajcie nam!“

Słowa Szanownego mówcy zrobiły jak najlepsze wrażenie, przemówiły do serca bratniego, bo z szczerego serca płynęły i były dla przybywających zadatkiem, że ich wszędzie braterska, serdeczna, staropolska oczekuje gościnność. Zaledwie p. B. skończył, odezwał się p. Dobrzański głosem silnym, pełnym życia pod wpływem téj chwili uroczystéj i dziękował komitetowi witającemu Galicjan w imieniu całéj Wielkopolski w następnych słowach:

„Na tak świetne przywitanie odpowiem nieprzygotowany prostemi słowy.—To tylko silnie i stale kochać możemy, co poznamy dobrze. I ojczystą ziemię kochamy silniéj, jeżli dzielnice jéj wszystkie poznaliśmy dokładnie. I braci, wszystkich rodaków naszych wtedy tylko całém sercem się kocha, jeżli się ich pozna bliżéj przy ich ogniskach domowych. Otóż pragnienie poznania was bliższego sprowadza nas do Poznania. Pragniemy was poznać, abyśmy was silniéj i staléj pokochać mogli. Od stu lat przedzieleni granicami, spotykamy się wprawdzie od czasu do czasu gromadnie, ale wtedy inną wspólną myślą przejęci, nie mamy sposobności zbliżenia się w życiu towarzyskiém, przy ogniskach domowych. Więc wybraliśmy chwilę ciszy i pokoju, aby odwiedzić małoznany nam gród wielkopolski, kolebkę naszego życia narodowego i poznać bliżéj braci naszych wielkopolskich. Większa część przybywających jest Rusinów z nad Dniestru, Bugu i Sanu. Wszyscy serdecznie witamy wielkopolską bracię“!

Po czułém i serdeczném powitaniu udali się goście i członkowie komitetu przed dworzec, gdzie już czekały powozy. Jak ogólny i serdeczny był udział w przyjęciu drogich nam Galicjan, najlepiéj dowodziły trwające bez końca okrzyki publiczności, zalegającéj całą przestrzeń od dworca kolei, aż do bramy berlińskiéj, która nie ustawała w okazywaniu uczuć swéj radości, swego wesela. Około godziny jedenastéj było na dworcu już prawie próżno, cisza zalegała na około, nie było słychać o żadnéj skardze, publiczność cofnęła się do miasta w porządku wzorowym i uznania godnym.

Nazajutrz w niedzielę przy niebie jasném i wypogodzoném mieli nasi bracia galicyjscy sposobność przypatrzenia się stolicy Wielkopolski. Około godziny jedenastéj większa część gości była obecną na solenném nabożeństwie w katedrze, gdzie miała sposobność oglądania wspaniałéj kaplicy królewskiéj z grobami Mieczysława i Bolesława Chrobrego.

Około 2 godziny z południa rozpoczął się w Bazarze na wielkiéj sali i w przyległych pokojach obiad, w którym oprócz Galicyjan z damami wzięło udział nadzwyczaj wielu obywateli tak zamiejscowych jak i miejscowych, oraz grono pań naszych. Na skromnéj uczcie téj widzieliśmy reprezentowane wszystkie stany, z obywatelstwa naszego wszystkich niemal znakomitszych mężów nauki i zasług na polu pracy publicznéj. Pierwszy toast na uczczenie gości galicyjskich wzniósł prezes Towarzystwa przyjaciół nauk i sejmowego koła polskiego, znany we wszystkich ziemiach polskich z rozgłośnego imienia Dr. Libelt, który do zgromadzonych w te przemówił słowa:

„Panowie! znaną powszechnie jest tradycja ludowa, wiążąca się z założeniem i nazwą miasta Poznania o trzech braciach lechickich, którzy się tu nad brzegami Warty spotkać i poznać mieli. Dziś w tém mieście powtarza się zapoznanie się braci nadkarpackiéj z bracią nadwartańską. Byliśmy i my długo z sobą rozłączeni i zaledwie wiedzieliśmy o sobie. Naraz i jakby przypadkiem spotykamy się tutaj i poznaliśmy się braćmi od razu, po gorącem serca biciu, po pokrewnych tchnieniach duszy, po miłym wdzięku mowy ojczystéj i po tych licznych wspomnieniach wspólnéj przeszłości, które przy tém bratniém spotkaniu odżyły i uprzytomniły się w naszych sercach i w naszéj pamięci.

Cywilizacyi zawdzięczamy to nasze pierwsze gromadne spotkanie. Koleje żelazne zbliżyły nas do siebie, a rządy konstytucyjne, pod któremi żyjemy, otworzyły nam gościnne granice państw swoich. Bodajby taż cywilizacja zbliżyła do nas i tę bracię z nad Wisły i Bugu, to trzecie pacholę lechickie, którego nam dziś brak w narodowéj trójce, jednego, kochającego się rodzeństwa, którego nam brak ku dopełnieniu starożytnéj tradycyi miasta Poznania. Z tém życzeniem wnoszę zdrowie gości naszych galicyjskich. Niech żyją“!

W imieniu Galicjan odpowiedział p. Dobrzański następnie:

„Stowarzyszenie Sokoła urządziło wycieczkę naszą do Poznania. Jako dyrektor Sokoła zanim w jego imieniu podziękuję za serdeczne tutaj przyjęcie, pozwólcie mi słów kilka powiedzieć o Sokole samym, o jego zadaniach i o celu teraźniejszéj naszéj wycieczki. Jaka jest młodzież nasza, taka będzie i przyszłość nasza narodowa. Pracując około wychowania młodzieży, budujemy i przyszłość dla narodu. Gdy więc dzielnica nasza po długim ucisku odetchnęła swobodniéj, wszystkie nasze myśli zwróciliśmy ku podniesieniu zaniedbanego u nas wychowania młodego pokolenia. Sejm naszéj dzielnicy zajął się przedewszystkiém zupełną reorganizacją szkół, a w pomoc działalności sejmowéj pospieszają stowarzyszenia. Jedne z tych stowarzyszeń mają na celu moralny, duchowy rozwój nauczycieli i młodzieży, nasze stowarzyszenie „Sokoła“ ma na celu uzupełnienie wychowania fizycznym rozwojem młodzieży. Towarzystwo pedagogiczne z swojemi po całym kraju zorganizowanemi filjami i kilku tysiącami członków, organizujące się obecnie na bardzo szerokiéj podstawie towarzystwo naukowéj pomocy o 74 filjach zapowiadają nam moralne nauczycieli i młodzieży podniesienie się z stuletniego zaniedbania. A jeszcze więcéj zaniedbani byliśmy w fizyczném wychowaniu. Nie prowadzimy dzisiaj już rycerskiego żywota jak nasi ojcowie, nie sposobimy się od młodu do takiego żywota. Od dzieciństwa prawie, aż do męzkiego wieku przepędzając czas nad książką i w szkole, młodzież nasza fizycznie niedołężniała. Sokół uczynił zadaniem swojém ten brak w naszém wychowaniu usunąć, gimnastycznemi ćwiczeniami i szermierką rozwinąć siły fizyczne młodzieży, wyrobić hart ciała, jako silną podstawę i dla hartu charakteru. A do tego zadania przyłączył i zadanie rozwoju życia towarzyskiego przez zwiedzanie rozmaitych okolic kraju naszego i przez zapoznawanie z ludnością tych okolic. Rozpoczęliśmy te wycieczki od okolic naszéj dzielnicy, posuwaliśmy je coraz daléj, zwiedziliśmy dwakroć Kraków, byliśmy w Tatrach. Tego roku zapragnęliśmy odwiedzić i dalsze, nieznane nam prawie dzielnice ziemi polskiéj i ludność tam osiadłą. Rząd pruski nie wzbronił nam odwiedzić Wielkopolski, więc przybyliśmy tutaj do was. Daj Boże, abyśmy mogli rychło odwiedzić po kolei i resztę dzielnic polskich! Tu śród was doznaliśmy przyjęcia jak u rodzonych braci. Serca znaleźliśmy otwarte. Towarzysze moi nie mogą znaleść dosyć słów do określenia téj serdecznéj gościnności, jakiéj w każdym polskim domu tutaj doświadczają. Z utęsknieniem będziemy wyczekiwać téj chwili, w któréj przy naszych ogniskach będziemy mogli odpłacić wam tę gościnność braterską. Tymczasem w imieniu towarzyszy moich wznoszę toast na podziękowanie braci wielkopolskiéj“.

Po tych pierwszych dwóch głównych toastach przemówił p. Danielewski w imieniu braci z nad Bałtyku, zapewniając gości galicyjskich, że i w tamtych stronach żywią dla nich braterskie a serdeczne uczucia i żywią świadomość łączności narodowéj. P. Danielewski korzystając z uroczystości chwili, dotknął bardzo zręcznie kwestyi nader ważnéj, bo dotyczącéj naszego kierunku

społecznego. Żyliśmy dotąd ciągle w świecie poezyi, w świecie złudzeń — były mniéj więcéj jego słowa — dziś pod ciężarem nieprzewidzianych przez nas ale dotkliwie dających się nam w znaki okoliczności, przerzucamy się na stronę materjalną. Panują w nas dwie siły wręcz sobie przeciwne, trzeba je umieć pogodzić, trzeba każdéj naznaczyć odpowiednie granice działania, a wtedy łódka naszego społeczeństwa uniknie rozbicia. Następnie przeszedł mówca na stanowisko i zasługi naszéj płci pięknéj, mianowicie pań galicyjskich i pierwszy wzniósł toast na zdrowie polskich niewiast. W imieniu pań dziękował p. Kantak. Huczne oklaski wtórowały każdemu toastowi. Umysły zgromadzonych były widocznie poruszone, boć wszakże to pierwsza tego rodzaju uroczystość, która może nie tak prędko się powtórzy. Nie jednemu posnuły się rozmaite myśli po głowie, nie jednemu serce żywiéj bić poczęło, to też nic dziwnego, że ten i ów czuł potrzebę wyjawienia swych uczuć choćby tylko w kilku wyrazach. I tak p. Henryk Szuman wzniósł powtórnie zdrowie pań, odzywając się w słowa:

„Cześć dla niewiast — to zaszczyt społeczeństwa. Tworczynie rodziny, one dzierżą klucz ustroju społecznego, prawie bezwiednie prowadząc narody na drodze wiary, moralności i wolności. Ich boleść wita przyjście nasze na świat, ich pieszczoty suszą łzy dziecinnych utrapień, ich miłość i poświęcenie łagodzą ciernie i zawody naszego żywota, ich łza i spółczucie i saméj śmierci odbierają grozę. Kapłanki serca, szafując miłością i wszelkiém szlachetném uczuciem, łagodzą obyczaj i dzierżgają tę nić złotą, która ziemię z niebem wiąże. To też od czasu do czasu, kiedy Bóg sam objawił nam wiarę miłości, cześć dla niewiast stała się obyczajem tak powszechnym, jak nią jest wiara nasza.

Chrześćjański a rycerski duch naszego narodu pod tym względem o wiele przewyższa inne, a wyrosły z niego obyczaj, bez ustaw pisanych, nadał niewiastom naszym takie stanowisko społeczeńskie, jakie trudno znaleść gdzieindziéj. Ale, bo i niewiasty nasze o ileż górują nad innych narodów kobiety. Gdzież jest tak powszechną ta ofiarność obywatelska, co to z matroną spartańską rzecze do syna lub męża: albo z tarczą, albo na niéj! — obok tego wylania cichych cnót domowych, cierpliwości i poświęcenia bez granic, obok téj swobody i wesołości towarzyskiéj, która nasze niewiasty cechuje. — Wszakżeż dzieje nasze od dawniejszych czasów po dziś dzień urocze niewiast przedstawiają nam wzory. Od gospodarnéj Rzepichy i poetycznéj Wandy, od św. Kingi, Salomei, do uroczych postaci Jadwigi, Barbary, albo bohaterskiéj Chrzanowskiéj lub Sobieskiéj, jakież piękne postacie uosobnionych cnót kobiecych stają przed oczyma naszemi? Toż i dzisiejszych czasów niewiasty nasze nieodrodnemi tych posągowych bohaterek córami. Któryż lud, któryż kraj poszczyci się tysiąckrotnym zastępem męczennic narodowych, jakim jest ten, który rozszalałe okrucieństwo oderwało od ziemi i rodziny i w bezludne stepy zagnało na pastwę łzom i żałości? Niechaj ta czysta łza spółczucia, która oto pada w godową czarę naszą, nie zamąci swobody naszéj skromnéj uczty bratniéj. Wspomnienie nasze chyba im anioł zaniesie przy modlitwie krzepiąc ich dusze, ale imiona tych świętych Pan Bóg w księdze zasług zapisze i łzy ich policzy, a nam to wspomnienie doda hartu nowego w pielgrzymce naszego żywota.

A teraz wam, zacne siostrzyce nasze z podkarpackiéj krainy, należy się cześć i chwała, że niewieściém poczuciem i rodowitą miłością wiedzione, nieustraszyłyście się trudów mozolnéj i długiéj drogi, ale z serdecznem uśmiechem do naszych ubogich wstąpiłyście progów, podając szczery uścisk dłoni bratniéj. Cześć wam za to i dzięki i to nieudolnych słów tych uznanie:

Więc Panowie w górę szklanki,
Ojców obyczajem starym,
Pełnem sercem i pucharem
Naszych niewiast wznieśmy cześć!
Matki, żony, czy bogdanki,
Wszystkim, które z życia drogi,
Ścielą kwiecie między głogi,
Im należy chwałę nieść
Obok wdzięków, serca złote,
Wznoszą duszę, krzepią cnotę —
I zasługi znaczą karb.
Wszak ich miłość cuda działa;
Niech im będzie cześć i chwała
Za ten życiodajny skarb.
Raz więc jeszcze w górę czasze!
Niechaj żyją Polki nasze!

Po panu Szumanie stanął na miejscu podwyższoném p. Hieronim Feldmanowski i przemówił do zgromadzonych następującym wierszem pełnym wdzięku:

Przyniesieni od Karpat skrzydły sokolemi,
Za słońcem téj miłości co wam z oczu świeci,
Witajcie goście! mili w staréj Piastów ziemi,
Jako w domu rodzinnym jednéj matki dzieci,
Jako wspólni imienia po ojcach dziedzice —
Jako bracia i duchem i sercem rodzeni;
Chociaż u was duch żywszy i jaśniejsze lice,
Chociażeśmy dziś od was dolą przedzieleni.

Otworem dla was całéj Wielkopolski wrota —
Na oścież serca nasze i duch nasz otwarty,
Bo tutaj śród ubogich jeszcze we czci cnota,
Co zrodzona nad Gopłem płynęła do Warty
I rosła wraz z narodem w coraz szersze kraje —
I spłynęła... Lecz nie czas wspominać te dzieje;
Ale pora odwieczne wskrzesić obyczaje
Na cześć nowéj jutrzenki, co dla was jaśnieje —
Na waszą zacne panie, szlachetni panowie,
Iżeście w szczęsnéj doli wspomnieli na braci
I przynieśli nam uczuć żywionych we Lwowie,
By je z nami podzielić — niech wam Bóg zapłaci!
Bo one ducha krzepią i serce weselą,
Bo one łzy strącają z powszedniego chleba,
One kwieciem te puste drogi życia ścielą —
I umysł pognębiony podnoszą do nieba.

A więc cześć wam z Halicza, Krakowa i Rusi —
Wdzięczni bratniéj miłości zwiastuny i gońce,
Któréj zerwać ni stłumić nikt się nie pokusi,
Bo ona tém dla ducha, czém dla oczu słońce!
Czém siostra, żona, matka dla polskiego męża —
Kapłanka obyczajów i wiary i cnoty;
Czém skrzydła dla sokoła i stal dla oręża,
Czém na grobie matczynym modlitwa sieroty:

Niechaj więc pióra wasze rozniosą sokole
Tę miłość co oddawna serca nasze zjęła —
A dzisiaj dłonie łączy przy biesiadnym stole,
Bo póki téj miłości — wiara nie zginęła!

Niechaj wam te serdeczne powitania słowa
Z tego grodu, z téj sali rzucone na wiatry
Zabrzmią w duszy donośnie echem od Krakowa,
Niech o wasze wyniosłe odbiją się Tatry

I rozlecą po całéj współbraci dziedzinie,
Jako pieśń żywą, świętą miłością natchniona —
I tam gdzie Bug i Warta, Dniestr i Wisła płynie,
I tam gdzie łzami ciecze Wilja wysławiona!

W imię téj wiecznie żywéj, braterskiéj miłości
Wnosim Wielkopolanie: zdrowie naszych gości!

Słowa naszego poety przyjęto z szczérym zapałem.

Następnie wzniósł p. Dr. Władysław Niegolewski zdrowie duchowieństwa galicyjskiego tak unickiego jak i katolickiego, w którego imieniu odpowiedział gorącemi słowy ksiądz Adam Rapała, które ogólny wywołały poklask.

Pan Adam Żółtowski wziąwszy pochop z Pieśni o ziemi naszéj Wincentego Pola, którego myśl Galicjanie niejako pierwsi w życie zbiorowo wprowadzili, wzniósł zdrowie wielkiego wieszcza, jako nestora naszych poetów, dodając kilka słów serdecznych dla braci Rusinów.

Po kilku jeszcze przemówieniach (pp. Kantaka, Dorowskiego, Górskiego, Moszczeńskiego) zakończyła się uczta wśród muzyki. Nazajutrz po zwiedzaniu osobliwości miasta był wieczorem koncert, potém bal. Bal trwał późno w noc, a ochocza zabawa zacierała na twarzach tańczących wszelkie ślady znużenia. Ku końcowi balu wygłosił p. dyrektor Smochowski prześliczny wiersz, który wszystkich do głębi rozrzewnił. Wiersz ten podajemy tu w całości:

Chwilę tylko w braterskim złączeni uścisku
Spoczęliśmy na sercach wielkopolskiéj braci;
Ale dosyć nam było przelotnego błysku,
By ten węzeł jedności, co nigdy nie traci
Swojéj mocy pomimo nieszczęść i rozdziałów,
Wzmocnić teraz uczczeniem wspólnych ideałów.

* * *

Dosyć było nieznanéj dotychczas rodzinie
Połączyć swoje dłonie i z oczów wyczytać
Myśl jedną, co po cichu z serca w serce płynie,
By się o nie nie troszczyć i o nic nie pytać,
Ale wszystko odgadnąć z pierwszego wejrzenia,
I łzami wypowiedzieć dzieje pokolenia!...

* * *

Zdawało się na chwilę, że to cud prawdziwy,
Że jasna przeszłość z grobu wiekowego wstała,
I przyszła błogosławić naród wiecznie żywy,
W garstce, co się nad Warty brzegami spotkała,
I że królewskie cienie śpiących tutaj Piastów,
Słuchały rozjaśnione wzniesionych toastów.

* * *

I chociaż to sen tylko, żeśmy połączeni,
Choć ta mara całości wraz z rozstaniem pryska,
Jednak dla ducha nie ma granic i przestrzeni,
I miłość do jednego skupi nas ogniska,
W którém chowając skrzętnie cnót ojczystych zaród,
Nie zapomnim, że jeden stanowimy naród!

* * *

Połączyła nas dziwna braterstwa potęga,
Któréj z naszego łona przemoc nie wydarła,
Dziś widzim, jak daleko po za grób swój sięga —
Więc choć nam powiadają: „ta ziemia umarła“,
To my czując, jak polska wydziera się dusza,
Wołamy jednomyślnie: Jednak się porusza.

* * *

Ta myśl, którą wynosim z naszego spotkania,
Ta wiara w polskie serca, któréj nic nie zmieni,
Niechaj będzie zarazem słowem pożegnania
Od tych, co Was kochają jak bracia rodzeni,
I w ostatnim uścisku, w cichéj łez wymowie,
Wznoszą po raz ostatni: Wielkopolski zdrowie!

Pod wrażeniem podniosłych słów poety opuściło zgromadzenie salę bazarową, by niebawem udać się na dworzec kolei żelaznéj. Zaledwie pierwsze promienie słońca ozłociły widnokrąg, już niezwykły ruch zapanował na ulicach naszego miasta. Liczne pojazdy i fiakry zdążały ku bramie berlińskiéj, wioząc gości i ich gospodarzy, dla których chwila rozłąki znów się zbliżyła. To też rozrzewnienie było ogólne i malowało się na wszystkich twarzach. Ściskano sobie dłonie, wymieniano wzajemnie zaręczenia braterkiéj przyjaźni! Z uderzeniem godziny siódméj zahuczała para i pociąg nadzwyczajny ruszył z miejsca. Na peronie rozległ się okrzyk: „Do widzenia bracia, do widzenia!“ Ze wszystkich wagonów wionęły białe chustki i grzmiała odpowiedź „do zobaczenia we Lwowie!“ a choć pociąg szybko mknął po równinie, unosząc z sobą drogich nam gości, długo jeszcze widzieliśmy powiewane ku nam chustki i niosło nam echo te słowa pociechy „Do zobaczenia!“ coraz słabiéj i słabiéj — aż całkiem zamarły w oddali, lecz nigdy w sercach naszych....

*** **Paryż** (korespondencja). - Kilka rysów obyczajowych. — W ostatnich czasach Rzeczypospolitéj Rzymskiéj publiczne obyczaje w taką poszły poniewierkę, że najznakomitszych rodów patrycyuszki oznaczały daty już nie nazwiskiem konsulów, ale numerem porządkowym swoich małżonków. Kronika paryskiego życia ma dzisiaj wiele podobieństwa do ówczesnéj. W przeciągu bieżącego miesiąca zapisała np. dwa porwania: jeden artysta dramatyczny wykradł młodą dziewczynkę jednego z historyczniejszych imion francuskich; w drugą historją wchodzi młoda mężatka, nosząca podobno równie pięknie brzmiące nazwisko, bo dzienniki nie podały nawet pierwszych liter nazwisk tych bohatérek — poddając się w tém wymaganiu nowego prawa drukowego, które familijne skandale opasało tak zwanym murem życia prywatnego.

Gdybyć to jeszcze na tego rodzaju wypadkach złe się kończyło. — Młodość — miłość mogą także mieć swoje prawa — niezależne od przesądów i kodeksu. Ale niestety! — dzienniki sądowe są przepełnione opisami procesów, w jakich nieocenione przez mężów żony — lub zdradzeni przez żony mężowie dopominają się separacyi. — Cokolwiek bądź — publiczne obyczaje w Paryżu jakby siłą pary gnane unoszą się gdzieś w przepaść. — Skandale, jakich w ostatnich czasach Bursa była teatrem, rzuciły o ziemię kilka zaszczytnych dotąd imion, których posiadacze nie wahają się ratować małżeństwami nie bardzo honorowemi — ale intratnemi.

Aleks. Dumas (syn) w przedmowie do nowego wydania swoich prac dramatycznych z całą otwartością i prawdziwie młodzieńczą energią wskazał paryskiemu społeczeństwu przepaść do jakiéj ono zmierza. — Czy zdolne są jednak pojedyncze usilowania przeciwdziałać wpływowi ogółu — wpływowi opinii publicznéj? A opinia publiczna staje *de facto* po stronie zepsucia; — mężczyzni biją czołem i składają brylantowe ofiary u stóp paryskich bakchantek — kobiety odurzone ich zbytkiem, tajemnie zazdroszczą im tryumfów, a otwarcie naśladują je, jeżeli nie inaczéj to przynajmniéj powierzchownie, przyjmując od nich mody, maniery, ton mowy i często aż nazbyt dwuznaczne wyrażenia, a kierunek ten ogarnia i najpierwsze salony. — Dzienniki, oprócz kilku pism tendencyjnych a przez to mało czytanych i słabo uposażonych, oddają hołd życiu zakulisowemu. — Złoto! — złoto! — to jedyne bożyszcze dwumiljonowéj paryskiéj ludności.

Nawet talenta stają się dzisiaj przedmiotem handlu — rzeczą do nabycia lub sprzedaży. — Nie dawno temu w kilku dziennikach czytaliśmy ogłoszenie następującéj treści: „Do nabycia różnego rodzaju rękopisma — poezje — komedje — dramata — romanse — studja ekonomiczne i społeczne. — Zupełna tajemnica — adresować — *poste restante* — S. 2. i 3." — Otóż jak widzicie ów pan S. 2. i 3. człowiek widocznie talentu, skoro może tworzyć podobne dzieła — zwątpiwszy zapewne o możności ogłoszenia prac swoich drukiem — a nie chcąc wobec potrzebującéj światła jego ludzkości odegrać roli skąpca, zakopującego skarby swoje w piwnicy, obowiązuje się zrzec się nieodwołalnie prawa ojcowstwa do własnych swoich utworów — byle tylko takowe na światło dzienne wyjść mogło. Czy to jest poświęcenie czy też łapka na bogatych głupców — trudno stanowczo odpowiedzieć. Cokolwiekbądź, ten drobny fakcik może służyć za skromny szkic moralności społeczeństwa paryskiego.

Nie sądźcie jednak, żeby przytoczone tu fakta miały pretensją malować stan ogólny Paryża. Jak wszędzie tak i tutaj są one tylko miarą usposobienia silnéj, bo rozporządzającéj wszystkiemi środkami, większości, która przez to samo już zapowiada nam istnienie słabszéj materjalnie ale silniejszéj moralnie mniejszości. — W ostatnich dniach wszystkie niemal dzienniki zajmowały się śmiercią Juljusza de Préméray, który trzydziestoletni zawód literacki zakończył w miejskim szpitalu. De Préméray był jedynym z tych ludzi powołania, którzy poczuwszy w sobie talent, uprawiają go nie dla pieniędzy i zaszczytów — ale dla przyniesienia korzyści społeczeństwu — dla zapracowania sobie imienia. Urodzony w roku 1818, w 25 r. życia, był paryskim bożyszczem jużto jako krytyk w dzienniku „La Patrie" — już też jako powieściopisarz i dramaturg. W 15 lat potém, zachorowawszy ciężko, przeniósł się do szpitala, bo laury jego nie zapewniały mu wystarczającéj opieki! — i po 10ciu latach powolnego konania umarł zapomniany i opuszczony — nie pozostawiając krewnym innego spadku jak literackie prace razem z nim w niepamięci pogrzebane.

Drugim zaraz faktem jest równie gorące zachęcanie przez dzienniki miłośników sztuki do zebrania się w salach hotelu Drout, gdzie odbywała się publiczna sprzedaż rzeźb pozostałych po P. Clésinger. Był to równie jak de Préméray człowiek z zasad uprawiający sztukę, którą kochał, a szukał w niéj przeto tylko prawdziwego piękna i uganiającym się w dziełach swoich za naśladowaniem wielkich mistrzów starożytności. To też utwory jego — prawdziwe dzieła sztuki — ogromne marmury jak Arjana, Lukrecja, George Sand poszły w cenach bardzo umiarkowanych. Bogatsi — ci co mieli środki nabycia tych utworów — zachęcani, przez uboższych ale uznających talent rzeźbiarski Clésinger'a do uporczywego licytowania, odpowiadali nieodmiennie: Co z tém robić? — jak sprzedać? — gdzie postawić? — gdyby to jakaś Phryné? — Trzeba znać sławny obraz Gerôme'a, przedstawiający ową Phrynę przed trybunałem — za cały strój mającą branzoletkę na nodze. — Otóż jeden z handlarzy dziełami sztuki dostrzegłszy w młodym rzeźbiarzu p. Falguière prawdziwy talent — i ubolewając wspólnie z artystą nad usposobieniem publiczności obojętném okiem spoglądającéj na poważne utwory — zaproponował mu wykucie z kamienia podobnego posągu. — Zniechęcony artysta porzucił dłuto Michała-Anioła i na tegoroczněj wystawie zwabił tłumy przed Phrynę, która tak przypadła do smaku publiczności, że już dotąd trzy jéj egzemplarze bardzo hojnie zostały zakupione — a w pracowni rzeźbiarza pięć już jest rozpoczętych w skutek zamówień. — Nieszczęściem dla Clésingera — ten w życiu swojém nie spotkał może równie życzliwego handlarza — a może podobnéj rady nigdy nie chciał posłuchać — to też dzieła jego jutro będą zapomniane — a jego obstawanie przy prawdziwém pięknie przyprawiło spadkobierców o stratę z pół miljona franków. Przejdą one do kieszeni p. Falguière, tak samo jak miljony powstałe z zakładów poczynionych przy ostatnich wyścigach przeszły do kieszeni markiza Hastings. Francja poniosła bowiem nowe Waterloo na kursach paryskich. Wbrew wszelkim oczekiwaniom i wszelkim zakładom — The Earl — własność markiza Hastings Anglika, który na hodowaniu koni potrafił zrobić pięć miljonów długów — odniósł walne zwycięztwo nad francuską stajnią p. Lagrange. Zwycięztwo to potrafi zapewne postawić na nogi rujnującego się dotąd zawsze markiza — bo oprócz nagrody miasta Paryża w sumie 100,000 fr. — i czary srebrnéj bardzo kunsztownie i kosztownie rzeźbionéj, podarowanéj zwycięzcy przez cesarza — przyniosło mu podobno z zakładów siedm milionów franków! Takie to sumy rozgrywają się na niewinnéj zabawce paryskiéj — mającéj być niby środkiem i zachętą do polepszenia rasy końskiéj — a z któréj koniarze i bursiarze zrobili loterją zbogacającą spekulantów kosztem zrujnowanych — lub też rujnującą ich dla zbogacenia ulubieńców fortuny.

Pozwolicie mi już zakończyć tę niedokładną paryską kronikę — niedokładną choćby tylko dla tego, że zbyt szczupłe jéj rozmiary nie pozwalają mi odrazu potrącić wszystkich kwestyj bieżących; na przyszły raz chciałbym wam wspomnieć o teatrach, które się uskarżają na gorąca a stąd na brak widzów — i o świeżo z nowego prawa o prasie wylęgłych dziennikach. Niektóre z nich są wcale interesujące. Na dziś zakończę dowcipem p. Ernesta Picard deputowanego. Na jedném z posiedzeń — reprezentanci rządu zapytani przez jednego mowcę — na co wam kasa? — żeby ją wypróżnić! — zawołał p. Picard — uprzedzając rząd, który prawdopodobnie nie byłby się zdobył na dobitniejszą i prawdziwszą odpowiedź.

S. Równia.

*** **Popis szkoły śpiewu dramatycznego**, który się odbył w sali u dyrektora p. Mireckiego, był niezwykłą, a ostatnią może przyjemnością w Krakowie przed nadejściem pory martwéj. Program był następujący: 1) Quintet, z opery (kobieca wierność), przez Mozart'a; 2) Duo, z opery Trubadur, Verdi'ego; 3) Arja, z opery Prorok, Mayerbeera; 4) Trio, z opery Robert Diabeł, Mayerbeera; 5) Duo, z opery Wolny Strzelec, Webera; 6) Cavatina, z opery Romeo i Julia, Bellini'ego; 7) La Charité, chór żeński z solami, Rossini'ego; 8) Romanza, Mercadant'ego; 9) Quartet, z opery Rigoletto, Verdi'ego. — Bogactwo i rozmaitość programu okazuje z góry, że trzeba nielada sił i nielada pracy na wykonanie tak trudnych utworów. Wykonanie zaś było wyborne — słyszeliśmy głosy (zwlaszcza żeńskie i jeden męski) pierwszorzędnéj piękności i siły — a metoda, precyzja, zgodność to świadectwo zdolności i usilnéj pracy p. Mireckiego, który objąwszy po ojcu swoim zaszczytne miejsce dyrektora téj szkoły utrzymuje w całéj mocy jéj dobrą tradycją w opinii i uznaniu naszego miasta. Dosyć tu przypomnieć oratorium wykonane w wielki tydzień za staraniem p. M., przez jego elewów teraźniejszych i dawniejszych. — Wolelibyśmy jednak, żeby roczny popis mógł odbywać się w większym, a dla publiczności przystępnym lokalu, ażeby liczniejsze audytorium mogło się przysłuchiwać i przyklasnąć. Byłoby to z korzyścią dla szkoły, estetyczną biesiadą dla miasta, i pomagałoby do obudzenia w coraz szerszych kołach ochoty do kształcenia się muzycznego, które jest tém dla duszy i serca, czém dla ciała taniec i gimnastyka. Dzisiaj zakład nie posiada odpowiedniéj sali i p. Mirecki tylko z grzeczności własnéj sali użyczył. — Popis odbył się tego roku wcześniéj, z powodu, że i uczennice wyjeżdżają i dyrektor udaje się w podróż za granicę w celu zwidzenia zakładów muzycznych. Gdyby zamiłowanie publiczności i poczucie potrzeby muzyki, jako dźwigni wychowawczéj — szło w parze ze zdolnością i usiłowaniami dyrektora, zakład nasz miałby zapewne nierównie większy rozgłos, lubo i dzisiaj cieszy się pochlebném uznaniem tak w kraju jak i za granicą w opinii profesorów przy konserwatorjach muzycznych, którzy elewki krakowskiéj szkoły zawsze do najpierwszych policzają.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.